

BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany
& tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,

S o l e c 87

„BLUSZCZ”

spoleczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17. m. 3. tel. 6-76-72

W a r s z a w a

Ś-to Krzyska 17, m. 3.

telefon 6-76-72.

telefon 2-44-18.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*
Redakcja i Administracja Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-05.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE

Treść numeru:

Stefanja Podhorska-Okolów: „Powrót do domu świadomego człowieka”. *Jadwiga Żylińska*: „Cierń”. *Wiktoria Rymwid-Mickiewiczowa*: „Wiersz obłąkany”. *Karolina Bielańska*: „Zielona Hrabina”. „Pamiętnik Chłopki”. *Janina Mąkolska*: „Do Chin”. *M. Znatowicz-Szczepańska*: „Z życia prowincji”. *H. N.*: „Z ubiegłego tygodnia”. „Uroczyste posiedzenie Akademii Literatry”. *S. P. O.*: „Z teatrów”. „Przegląd Prasy”. „Kobieta w świecie i w domu”. „Świat kobiecy w ilustracji”. Ogrodnictwo i hodowla. *Marja Dąbrowa*: „Kiedy należy rośliny pokojowe podlewać”. „Nasadzamy kwoki”. „Czaber ogrodowy”. Dom i Gospodarstwo. *Wanda Dobrzańska*: „Środek ciężkości”. *Melba*: „Przepisy kulinarne”. „Mody i roboty”.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie — 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 5700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszez”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
1/1 str. tekstu —	700.—
1/2 „ „ —	400.—
1/4 „ „ —	200.—
1/8 „ „ —	100.—
1/16 „ „ —	50.—
1/32 „ „ —	50.—

	zł.	
Okładka III-cia	1/1 str. okł.—	500.—
	1/2 „ „ —	250.—
	1/4 „ „ —	150.—
	1/8 „ „ —	80.—
	1/16 „ „ —	50.—
	1/32 „ „ —	50.—

	zł.	
Okładka IV-ta	1/1 str. okł.—	600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszez” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-05. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „Bluszcza” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p., wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania.

Zakłady Graficzne Tow. Wzd. „Bluszez”, Warszawa, Solec 87.

BLUSTO

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY



W olszynie...

Powrót do domu świadomego człowieka

Doniosłość społecznej i ekonomicznej roli kobiety, jako pani domu, ściślej mówiąc, kierowniczk domowej maszyny, jest dzisiaj tak powszechnie wiadoma i uznana, że uzasadnienie jej byłoby wyważaniem drzwi dawno już otwartych. Przypisać trzeba, że do naoliwienia tych drzwi, mocno już skrzypiących w zawiasach, przyczyniły się skutecznie te stowarzyszenia, instytucje i pisma kobiece, które stanowisko pani domu wyprowadziły z zakamarków szacownego dyletantyzmu na otwartą przestrzeń pracy zawodowej.

Potrzeba tego przewartościowania zjawiała się wskutek zestawiania pracy zarobkowej kobiet z pracą domową na niekorzyść tej drugiej. Rola jednostki, która przynosi do domu gotowy pieniądz, wydawała się zawsze bardziej zaszczytną i odpowiedzialną od roli osoby, która ten pieniądz ma przeistoczyć w chleb, nabiał, mięso, opał, bieliznę, odzież, — inaczej mówiąc abstrakcję monetarną w konkrety białka, węglowodanów, tłuszczu i t. d. Taką przynajmniej hierarchję ustanowili mężczyźni, a kobiety podporządkowały się jej tradycyjnie, często w imię własnej wygody i oportunistu.

Niejednej bowiem leniwej gąsce, albo zacietrzewionej Dulskiej bardzo na rękę było zastawiać się aureolą „kapłanki domowego ogniska“, jak tarczą, od wszelkich pokus i możliwości istotnej pracy (niekoniecznie zarobkowej). Dopiero postawienie roli pani domu na twardym gruncie pracy zawodowej, wymagającej nietyle namaszczenia kapłanki, co fachowego przygotowania i ustawicznego doskonalenia się, — otrząsnęło kobietę ze złudzeń samoadoracji, zgubnych zarówno dla niej, jak i dla jej otoczenia. Podobnie, jak dzisiaj wiemy, że do wychowania dzieci nie wystarczy sam instynkt macierzyński i najwznioślejsze nawet zasady, jeśli nie są poparte umiejętnością pedagogiczną — tak również nikogo to już nie dziwi, że panie domu nie poprzestają na odziedziczonych przepisach i tradycyjnych systemach, ale dążą do unowocześnienia, uproszczenia, zmechanizowania ciężkiej, żmudnej, niedocenianej, a jakże często poprostu ogłupiającej pracy w gospodarstwie domowym.

Ku czemu jednak zmierzają te wszystkie techniczne udoskonalenia, te gazowe piecyki, dogotowywacze, mechaniczne pralnie, odkurzacze, suszarki i t. d.? Ku temu, aby kobiecie jaknajwięcej zaoszczędzić czasu i sił, który mogłaby spożytkować w sposób bardziej produkcyjny i myślący, niż pilnowanie garnków na kominie i zdzieranie sobie rąk przy praniu. Celem tych wszystkich wynalazków jest wyzwolenie istoty żywej z pod jarzma rzeczy martwych, — uczynienie z niewolnicy obowiązków domowych, jaką do niedawna była, a niejednokrotnie jeszcze jest kobieta — prawdziwej ich Pani.

Tym poczynaniom przyświeca ideał człowieka

wolnego, to znaczy takiego, który ma wolny wybór zawodu, a nie jest dożywotnio przywiązany do jednej funkcji, jak ongi chłopci pańszczyźniani „ad glebae adscripti“. Fakt, że każda kobieta chce i ma prawo być żoną i matką, nie może jej pozbawiać praw człowieka.

W tym właśnie kierunku uczłowiczenia kobiety, ulżenia jej barkom przy dźwiganiu podwójnych zadań i obowiązków, umożliwienia symbiozy pracy zarobkowej z prowadzeniem domu, — powinny iść i idą wysiłki i pomysłowość techniki, chemii i naukowej organizacji.

Jednocześnie jednak w niektórych społeczeństwach europejskich wszechyna się prąd wsteczny, dążący do zapędzenia kobiety z powrotem wyłącznie do kuchni i alkowy, cofający o całe stulecie zdobycze cywilizacyjnego postępu i ewolucji socjalnej. Niewątpliwie prąd ten jest odruchem samoobrony mężczyzny, zagrożonego w swoim stanie posiadania.

Wiadomo, że większość takich odruchów ma podłoże ekonomiczne. Tak jest i tutaj. Mężczyzna, dławiony kryzysem i bezrobociem, szuka z niego wyjścia po linii najmniejszego oporu. Zamiast leczyć istotę choroby, stara się usunąć jej objawy. Zepchnąć kobiety z zajmowanych posad i stanowisk, aby zająć ich miejsce. W ten sposób automatycznie skasowałoby się bezrobocie mężczyzn, być może, ale nie rozwiązałoby się sprawy kryzysu. Bo cóż z tego, że kobieta lekarz, adwokat, inżynier, nauczycielka, urzędniczka i t. d. porzuci pracę zawodową, którą wykonywała ze znajomością rzeczy, z zapalem, z zadowoleniem, a weźmie się do dyletanckiego gotowania, sprzątanania i łatania ku rozpaczcy swojej i domowników, powróci do garnków i odkurzacza w myśl ideologii „kapłanki domowego ogniska“? Cóż z tego, jeżeli nie będzie miała z czego rozniecić tego ogniska, co włożyć do tego garnka, czem zapłacić za elektryczny prąd do odkurzacza.

Smutna rzeczywistość pokazuje, że nawet tam, gdzie oboje rodzice pracują zarobkowo, zaledwie z trudem udaje się utrzymać jako tako dom i wychować dzieci. Wiemy, jak wiele kobiet musi sobie odmawiać naturalnego prawa założenia rodziny legalnej i posiadania potomstwa tylko dlatego, że jako mężatki w pewnych zawodach wyjęte zostałyby z pod prawa zarobkowania. „Kara za małżeństwo“? Chyba tak, bo trudno zrozumieć etyczne, socjologiczne i ekonomiczne argumenty tych, którzy ludzą się, że usuną kryzys, pozbawiając więcej niż połowę ludzkości prawa do pracy tylko dlatego, żeby ta druga, męska połowa znalazła miejsce przy biurkach i warsztatach.

Z chwilą, gdy się społeczeństwo dzieli na warstwy uprzywilejowane i nieuprzywilejowane, przekreśla się demokracja i budzi się w pewnych warstwach poczucie krzywdy, które jest zarzewiem buntu, za-

tem czynnikiem społecznie i państwowo niepożądanym.

Czy z tem niebezpieczeństwem liczą się autokratyczne rządy tych państw, które kobietę całkowicie podporządkowują programowi mocarstwowemu? Narazie unieszkodliwiają je zapomocą skierowania całej zbiorowej energii uczuciowej kobiet na tor entuzjazmu partjołycznego.

Wszystko dla ojczyzny, wszystko dla państwa, wszystko dla armji! Oto hasła, które ogłusza się krytycyzm i przekreśla zgóry wszelkie możliwe sprzeciwy.

Rozpoczęło się więc znowu żerowanie na kobiecej uczuciowości, ofiarności, poświęceniu i... jakże często bezmyślności. Państwu militarystycznemu potrzebni są przede wszystkim żołnierze, a więc kobieta powinna być maszyną do rodzenia, karmienia i nianczenia dzieci. A do wychowania? O nie! wychowaniem przyszłych obywateli zajmie się już państwo. Tutaj potrzeba czegoś więcej niż maszyny.

Tak w praktyce wygląda owo szczytne posłannictwo „kapłanki domowego ogniska“, które służy za wabik moralny, odciągający kobiety od pracy zawodowej i zarobkowej. Przyznajmy jednak, że w państwach, głoszących dogmatycznie „powrót kobiety do domu“, zrobiono niemal wszystko, aby ten powrót uczynić łatwym i ponętnym. W Italji faszystowskiej np. macierzyństwo jest otoczone najtkliwszą opieką. Włoszka może spokojnie rodzić, wie, że jej i jej dziecku nie dadzą zginąć, macierzyństwo dla niej to nie kula u nogi, ale zasługa obywatelska, którą państwo kultywuje i otacza należnym prestiżem. I to jest właściwa droga: naprzód zapewnić kobiecie i jej dziecku możność egzystencji, a potem nawoływać ją do powrotu do domu, a nie odwrotnie.

Ta, która jest matką z powołania, a nie ma innych zainteresowań zawodowych, intelektualnych, społecznych czy twórczych, z radością porzuci niewdzięczną, znużającą, często mechaniczną i bezmyślną pracę zarobkową dla domowego ogniska. Ale ta, która oprócz instynktu macierzyńskiego ma jeszcze inne aspiracje i potrzeby życiowe, zawsze będzie dążyła do tego, aby je pogodzić z naturalnym powołaniem kobiety. Nawet jednostce tak genialnej, jak Marji



RADION

pierze bieliznę szybko i bez trudu!

Wystarczy:

1. Rozpuścić Radion w zimnej wodzie
2. Gotować bieliznę przynajmniej 15 minut
3. Płukać najpierw w gorącej, potem w zimnej wodzie

Curie-Skłodowskiej praca wynalazcza, a zatem wymagająca, zdawałoby się, całkowitej wyłączności, nie przeszkodziła w stworzeniu rodziny. Cóż dopiero mówić o przeciętnych pracownicach.

Zwolennicy absolutnego powrotu do dawnych form bytowania rodzinno-domowego, kiedy to dom był samowystarczającą komórką gospodarczą, sięgają w swych argumentach aż do epoki jaskiniowej. Wówczas mężczyzna, ubiwszy palką zwierzyńnię, przynosił ją do jaskini, a kobieta dzieliła krwawe ochłapy. I dzisiaj wielu ludzi żyje wskutek nędzy w warunkach jaskiniowych, bez ognia, bez soli, bez odzieży. Tylko że bezrobotny mężczyzna nie przynosi już odżywczego łupu. Częściej czyni to zań kobieta. A jeżeli siłą będziemy chcieli zmienić ją w szafarkę nieistniejących darów, nie odwrócimy klęski. Umrą z głodu oboje, i oni i ich dzieci.

Powrót kobiety do domu nie może być powrotem do jaskini. To ona musi ludzkość z tej jaskini wyprowadzić. Ale to się nie dokona zapomocą samych szczytnych hasel, maskujących coraz to nowe ograniczenia i stare wstecznictwo.

Dom nowoczesnej kobiety nie może być ani domem lalki, ani domem niewoli, ale ośrodkiem pożycia dwojga ludzi wolnych, w pełnym wzajemnym zaufaniu dzielących równowartościowe prawa i obowiązki. Budowę tego domu trzeba zacząć od podwalin ekonomicznych, a nie od rzucania kamieni pod nogi kobietom, tym właśnie najdzielniejszym kobietom, które w ciężkim mozole i nadludzkiej wysiłkach dźwigają walące się sklepienia swego domu.

TANIE FORMY BIBUŁKOWE. Administracja „BLUSZCZU“ wysyła na zamówienie, po otrzymaniu należności i na koszty przesyłki kwoty 30 gr., formy bibułkowe wszystkich modeli, umieszczonych w tygodniku. Ceny wykroi są następujące: bluzka, kamizelka, białona, spódnica, garderoba dziecięca — po 1 zł.; suknia, pyjama, szlafrok, koscjum, płaszcz — po 1 zł. 50 gr.

Celem zaoszczędzenia kosztów przesyłki pieniądze i zamówienia, radzimy pieniądze przesyłać pocztowym przekazem rozrachunkowym (w kolorze niebieskim, do nabycia w każdym Urzędzie Pocztowym w cenie 1 gr.). Na odwrocie przekazu umieścić zamówienie z podaniem numeru modelu, oraz jednej z następujących wielkości, dostosowanej do własnej figury:

- | | | | | | | | | |
|------|---------------|--------|---|--------|--------|---|---------|---------|
| I. | GORS (połowa) | 44 cm. | — | BIODRA | 50 cm. | — | DŁUGOŚĆ | 118 cm. |
| II. | „ | 48 „ | „ | 52 „ | „ | „ | 120 „ | |
| III. | „ | 50 „ | „ | 60 „ | „ | „ | 122 „ | |

Przekazy rozrachunkowe adresować: Administracja „BLUSZCZU“, Warszawa, Ś-to Krzyska 17 i Sołec 87

Cień

Gdy skończył śpiewać, jakiś czas siedział jeszcze przy fortepianie, głęboko zamyślony. Wtedy Dorota poruszyła się nieznacznie, a on odwrócił się i wydał się obecnością jej wcale nie być zdziwiony. Podszedł do niej, a ujrawszy wyraz smutku w jej oczach, spytał, co ją gnębi. Na to Dorota odrzekła:

— Spodziewałam się zastać tu przyjaciela, który bardzo jest mi potrzebny. Dowiedziałam się, że wyjechał do swojej ukochanej Szwecji, a ja tak bardzo liczyłam na to, że mi pomoże.

Sten Reventlov, ośmielony jej wyznaniem, usiadł tuż przy niej na niskim taborecie i spuściwszy oczy, powiedział:

— Chciałbym pani pomóc.

Wtedy Dorota powiedziała, że postanowiła zostać rzeźbiarką i szuka mistrza. Przy tym ostatnim wyrazie zasępiła się znowu, albowiem tak zawsze nazywała Wiktora, którego teraz jej brakowało. Na cóż zdało się mówić Reventlovowi o tem, że szuka kogoś, ktoby rozwiął jej wątpliwości i rozświetlił przed nią drogę, na której mogłaby się urzeczywistnić? Takich rzeczy wogóle nie można mówić. Powiedziane tracą swoją treść i stają się odrazu użytym szyldem w ustach tych, co kupeżą świętościami. Lecz Reventlov rzekł niespodziewanie:

— Przedewszystkiem powinna pani poznać Krystjana Haacke. On pani powie, czy pani jest rzeźbiarką. Wystawa jego jest w Jeu de Paume jeżeli rzeźby jego wzbudzą pani zaufanie, niech pani zwróci się do niego.

Tak się zaczęła droga Doroty ku nowym wiadomościom. Została uczennicą Krystjana Haacke, którego rzeźby zadziwiała całą Europę.

Pewnego dnia Krystjan rzekł do Doroty:

— Czy pani jest w przyjaźni z Stenem Reventlovem?

Dorota odrzekła, że jest. Na to Krystjan Haacke rzekł znowu:

— Tak sądziłem, ponieważ przez niego panią poznałem. Jakie to szczęście mieć go za przyjaciela — dodał. — Nie dlatego, że jest sławny, tylko dlatego, że jest taki — genialny.

A gdy ujrzał zdumienie w oczach Doroty, powiedział, że Sten Reventlov jest autorem „Syna Marnotrawnego z Ulfgaard“, powieści, która imię jego w ciągu kilku miesięcy uczyniła sławnym. Tego dnia wieczorem Dorota weszła do pokoju Stena Reventlova, lecz zamiast usiąść do pogawędki, stanęła w drzwiach i rzekła:

— Chciałabym przeczytać „Syna Marnotrawnego z Ulfgaard“.

A Reventlov odpowiedział:

— Dobrze. Przetłumaczę dziś jeszcze dla pani jeden rozdział.

Dorota mówiła dalej:

— Tak się cieszę, że już wiem. Tak mnie to męczyło przedtem. Przecież natchnienie bije poprostu od pana.

Twarz Reventlova zapaliła się nagle, jakgdyby blask jakiś ją owionął, a Dorota szepnęła:

— To chciałabym wyrzeźbić. Chciałabym wyrzeźbić pana, ale nie w tem ubraniu, nie tak. Chciałabym wyrzeźbić Prometeusza. Lecz nie gdy bogom wykrada ogień, ani gdy z gliny ulepi człowieka, lecz jego zmierzch. Chciałabym go wyrzeźbić przykutego do skały Kaukazu. Byłaby to twarz umęczona dwoistością natury, oblicze, z którego cierpienie starło boskość, a które pomimo wszystko promieniałoby światłem nieśmiertelności.

Wtedy rzekł Reventlov:

— Uczyn to.

Nazajutrz Dorota znalazła na stole w swoim pokoju czerwony zeszyt. Gdy otworzyła go, na pierwszej stronie przeczytała: Tłumaczenie z „Syna Marnotrawnego z Ulfgaard“ dla Doroty Dowgird napisał Sten Reventlov.

Dorota czytała po francusku:

„Dwór w Ulfgaard był obszerny i prawie bogaty. Nie ulegało wątpliwości, że było w nim dosyć miejsca nietylko dla właścicieli, ale i dla ubogich krewnych i starej służby, której ofiarowano chleb laskawy. Śmiesznem się też musiało wydawać, że jedynie dla młodego dziedzica Ulfgaard było niedostatecznym pomieszkaniem, jakgdyby mogło tam być zaciasno.

Pięknie było w Ulfgaard, a czasami nawet wesoło. Nie znaczy to wcale, aby się ciągle bawiono. Wprawdzie od czasu do czasu odbywały się tam huczne przyjęcia z muzyką i winem, tak jak naprzykład, gdy urodził się przyszły dziedzic Ulfgaardu, którego nazwano imionami Eryka, Krystjana, Filipa. Zjechało wtedy całe sąsiedztwo z Uggli, z Borgu i z dalszych okolic. Wszyscy przyjeżdżali powozami, a było ich tak dużo, iż dla koni nie stało miejsca w stajniach i ustawiano je w gumnach i oborach. Później z okazji imienin pani Ingebjörgi bawiono się jeszcze nieraz, lecz stangret z Ulfgaard zapewniał, że podobnego zjazdu, jak z okazji urodzin panicza, później już nie było. Prawdę mówiąc, ta pycha z przyjęcia na świat syna i przedwczesna radość wcale na dobre im nie wyszła. Bo od dzieciństwa już Eryk był opętany muzyką, a później, jak się okazało, przez nią prawie rozum postradał. Lecz z początku nie przypuszczano jeszcze, by tyle zła przez nią stać się miało. Do czasu Eryk sprawował się wcale nieźle, uczył się nawet dobrze, a, przyjeżdżając do domu na wakacje, jeździł do Borgu i do Uggli i wtedy jeszcze ludziom był miły, choć sobie już zaczął ciążyć. Oni oczywiście o tem nie wiedzieli. Aż potem nagle wszystko wybuchnęło w nim z całą siłą, z całą szatańską mocą, opętało go i ponio-

sło. Mówił, że słyszał w Kopenhadze jego grającego.

I odrazu znalazł słowa na to wszystko, co więzło dotychczas w jego sercu i odkrył ich przerażonym uszom nurtujące go szaleństwo. Przez całe swoje życie Eryk nie wypowiedział odrazu tylu słów, co owego wieczoru. Mówił, że odejdzie, że nie będzie jeździł w odwiedziny do Borgu i do Uggi, że nie będzie hodował bydła i koni w Ulfgaard, ani że nie przywdzieje pięknego munduru w służbie królewskiej. Pani Ingebjörga i pan Melchjor siedzieli uciszeni, nagłą trwogą skamieniali, a Eryk mówił:

— Jedynie muzyka niezależniona jest od materji i dlatego muzyk dla tworców swoich nie czerpie wzorów ze świata, lecz wydobywa to wszystko, co tkwi w muzyce już od początku. Ona bowiem jest wieczna. Ona istniała najpierwsza. Świat rzeczywisty jest jeno symbolem dla tego wszystkiego, co odwieczne, znajduje się w muzyce. W niej jest plusk wody, szum lasu i śpiew ptaka; w niej kształt ryby, zapach kwiatu i załamanie światła w fali; w niej upał letni i zimerch zimowy, w niej blask doczesności, rozkosz ciała i uniesienie nieśmiertelnego ducha. W niej żyje wszystko, niezależnione od kształtu, linji i barwy jako wieczyste przecucie nieskończoności. Barwność łąki, woda jeziora i głębie leśne są jeno symbolami dla tych, którzy pojęcia nieskończoności nie mogą objąć bez zjawisk konkretnych. Grecy mówili o muzyce sfer. Było to wycucie istotnej budowy świata. Że duszą świata we wszystkich jego przejawach jest muzyka doskonałości. Kto poprzez świat śmiertelny przeczuwa istnienie nieskończoności myśli kategorjami muzycznymi. Tęsknota za odwiecznym jest nieograniczona, jedynie świat spełnień i ziszczeń jest uzależniony od zjawisk materialnych, dlatego myślę, że całkowitych spełnień niema wogóle, lecz pojęcie o nich daje nam jedynie muzyka, gdyż ona jest najbardziej niematerialna z tego, co człowiek posiada.

Gdy Eryk umilkł, przez jakiś czas pan Melchjor i pani Ingebjörga siedzieli jeszcze w ciszy wielkiej, a potem z gniewem zaczęli przeczyć i krzyczeli bardzo i własną wymową, a jego milczeniem unosili się coraz bardziej. Gdyż teraz oni mówili, oni krzyczeli, a Eryk milczał. Był już pusty, wyczerpał się temi słowami, które wydzierał sobie z serca i czerwone krwią serdeczną, gorące miłością kładł przed nimi obnażone, na oczywiste sponiewieranie. Mimo wszystko jednak w tem, co Eryk powiedział, nie było jeszcze niczego, coby ich do cna przeraziło. To najstraszliwsze przyszło dopiero nazajutrz, gdy przekonali się, że Eryka niema.

Dlaczego Eryk rzucił Ulfgaard i na długie lata przepadł bez wieści — to było pytaniem, które codziennie sobie zadawali, zacinając się w nienawiści.

KAŻDA Z PAŃ

Powinna wiedzieć o tem, że

PUDER SPORTOWY

LABORATORJUM MALINOWSKIEGO

neutralizuje przykry zapach potu.

Lab. Chem. Farm. ul. Chmielna 4

Do nabycia we wszystkich
pierwszorzędnym firmach

mimo skrytej gotowości przebaczenia. Dlaczego Eryk opuścił Ulfgaard, w którym nigdy nie byłby zaznał żadnego braku? Jak mógł wyrzec się pięknego obszernego dworu i obór, w których stało tyle mlecznych krów i tłustych jałówek i ogrodu, który na wiosnę zakwitał fiołkami i tulipanami i sadu, który jesienią uginał się od soczystych gruszek i liljowych lepkością wosku powleczonych śliwek?

Dopóki nie mieli o nim wieści, srożyli się bardzo i martwili i jątrzyli swoje rany wzajemnym wypominaniem jego postępków. Lecz potem, gdy zaczęli dowiadywać się nowin o Eryku, zmartwienie ich zmieniło się w gniew zażarty, przeciwko jego jawnemu już szaleństwu zwrócony. Czemże on bowiem zajmował się ów opętany Eryk, którego niebawem w okolicy słusznie synem marnotrawnym przewano? Nie układał wcale pięknych sztuk, któreby w operze królewskiej grała orkiestra z wielkim zaszczytem dla jego nazwiska, ani nie ukazywał się na estradzie w czarnym fraku z brylantowymi spinkami, gdzieby go witano oklaskami. Z namiętnością szaleńca oddał się mozolnym badaniom muzyki średniowiecznej i śpiewu zwanego plein-chant i pierwszym utworom pisanym na organy.

Podobno wyjechał nawet do Auxerre, gdyż tam miały znajdować się najstarsze organy, zbudowane przez jakiegoś mózgowca, którego gawiedź później posądzając o ukryte pogaństwo, rozszarpała na drobne kawałeczki. A potem jeszcze, jakgdyby nie dosyć już było dowodów jego opętania, Eryk cofnął się do tych czasów, kiedy muzyka przedzierała dopiero mrok, w którym ludzkość była pogrążona i wynurzająca się powoli z odwiecznego swego niewiedomego trwania. W przeciwieństwie do Stuarta Milla, dla którego oktawa składała się ze zbyt małej ilości tonów i którego nigdy nie przestała dręczyć myśl, że z siedmiu tonów może powstać jedynie ograniczona ilość warjacyj, z których nie wszystkie są piękne, a najpiękniejsze są już ujawnione, Erykowi te siedm tonów wydawało się już zbytkiem i najchętniej zapuszczał się do tych czasów, w których większość powstałych melodyj była zbudowana na pięciu tonach.

(D. c. n.).

Wiersz obłąkany

Gdzie schronić się, gdzie uciec?
 Wichur o ściany uderza,
 wichur oszalał tej nocy,
 z drzewami się szamocze.
 Huczą skrzydła potwornego zwierza.
 W stare gonty zanurza pazury,
 trzeszczą krokwie, dach zrywa znad głowy.
 Świszczący ogon wichrowy
 opada na ściany z góry.
 Biją w spróchniałe bierwiona
 skręty smoczego ogona.

Za słabe, za kruche ściany,
 dach niemocny, szyby popękane,
 nieszczęlna trzeszcząca podłoga,
 daleko opieka Boga.

Stary dom nie obroni i myda
 szalejącym skorotykom wichury,
 w smoczą paszczę, lapy i pazury.
 Wichur się z drzewami szamocze.
 Otaczają mnie piekielne moce,
 oplatają zimnem ciałem węża.
 Huczące koło się zwręza,
 obłądne czarne kolisko
 jest już — w pokoju — blisko —
 Ratunku — ratunku — ratunku!

Mocne są Twoje ręce, ciepłe są Twoje usta
 ratujące mnie pocałunkiem.

KAROLINA BIELAŃSKA

4)

„Zielona Hrabina“

Zamieniono jej karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Przeżyła w niem tylko dwa lata. Ruchu rewolucyjnego nie złamały żadne represje. Kraj cały się burzył i Anglja, zaabsorbowana wojną, musiała pójść na kompromis. Ogłoszono amnestję. Countess Markiewicz wyszła z murów więziennych w triumfie, witana z nieopisanym entuzjazmem przez tłumy, niezłamana.

Zdrowie jej ucierpiało z powodu wiktury więziennego, który np. nie dopuszczał wcale mleka. Pozatem miano dla niej pewne względy. Mogła malować, wykończyła wówczas serję subtelnych akwarel, korzystając — jak mówiła z uśmiechem — z dawno niezdarzającego się jej wywczasu.

W roku następnym 1919 aresztowano ją znowu — na krótko tym razem. Równocześnie prawie spotkał ją wielki zaszczyt. Była pierwszą kobietą Wielkiej Brytanii, którą wybrano do parlamentu Londyńskiego, jako reprezentantkę robotniczej dzielnicy *Św. Patryka* w Dublinie.

Dla zasady musiała zrezygnować. Nie mogła przysięgać na dodatek pensję 500 funtów sterlingów. Nie mogła przysięgać na wierność królom angielskiemu.

W r. 1920, osadzona o udział w zamachach terrorystycznych, jest znów przed sądem polowym i skazana na 2 lata ciężkich robót, mimo że terrorizm był jej obcy i potępiała skrytobóistwa.

Po siedmiu miesiącach wychodzi na wolność. Niezawisłość Irlandii została ogłoszona, a pani Markiewicz

wicz mianowana Ministrem Pracy w Rządzie Czasowym. „Nawet przeciwnicy przyznać musieli, że na tem stanowisku była niezrównana i potrafiła rozwiązać cały szereg spraw robotniczych w sposób nadzwyczajny. Oddaliła od siebie wszelką partyjność, celem jej, dążeniem było ulżenie wielkiej nędzy ludu. wyczerpanego do ostatnich granic.

A to nie był jeszcze koniec. Przyszło, co mogło przyjść najgorszego, wojna domowa, bratobójcza.

Teraz już obcy ludzie niczego nie pojmowali, a w kraju matki warjowały z rozpacz, widząc synów, ginących z rąk — rodaków!

Republikańska partja, której duszą był de Valera, a jedną z naczelnych głów: Countess Markiewicz nie zgodziła się na traktat, zawarty przez Rząd Tymczasowy z Anglją. Uważała, że układ ten oddaje kraj w nową niewolę — ekonomiczną i że zmarnowaniem krwi wylanej jest połowiczne rozwiązanie spraw*).

Irlandja podzieliła się na dwa obozy. Walka była okropna, prowadzona z całą zapamiętałością krańcowej irlandzkiej natury, budząca w chłopach niszczycielskie bolszewickie instynkty.

A przytem nędza, szalejąca w całym kraju: widmo głodu po widmie wojny.

Pani Konstancja całym gorącym sercem rzuca się do walki, przedewszystkiem z tą niedolą ludzką. Zaczyna się odwracać od polityki. Dom jej zmienia się w jedno wielkie „biuro nędzy“.

Wybierają ją znów na posła do irlandzkiego już parlamentu, wy-

biera najuboższa dzielnica Londynu, gdzie się osiedliła.

Jest już zespolona na wiek wieków z tym biednym ludem. W r. 1918, w więzieniu, przeszła na katolicyzm. Mistyczna, gorąca dusza potrzebowała tej wiary, która dawała siłę przetrwania jej narodowi przez wieki ucisku, chciała klęczeć i śpiewać litanję, tuż obok chłopki i robotnicy.

W zimie r. 1926. Anglja odmówiła Irlandji węgla, a zima była wyjątkowo sroga i najuboższa ludność bardzo cierpiała.

Widziano wtedy panią Markiewiczową, jak własnym samochodem rozwoziła opał biedakom, a czasem zapamiętywała się tak dalece w swej miłosiernej akcji, że na własnych barkach wносиła worek węgla do suterren nędzarza.

W tymże roku umarła jej siostra Ewa, poetka i filantropka. Została bardzo samotną. Córka wychowana u babki stała się jej obcą i daleką, a niechęć zawsze łączyły węzły szczerzej przyjaźni — pisze sam Markiewicz w swoich „Listach z Irlandji“ — no i łączyła córka, choć to nadzwyczaj sympatyczne i ładne stworzenie raczej nas dzieli, jako że ma przekonania „*pur sang*“ angielskie. Oświadczyła mi coprawda, chcąc mnie skokietować (jak prawdziwa kobieta!) po dwunastoletnim nie widzeniu; że czuje się — Polką! Kiedyś gotowe się literaty spierać o jej narodowość, gdyż pisuje wcale

*) Wolne i Niepodległe Państwo irlandzkie, powstałe w r. 1921, nazywa Markiewicz „Wolne żarty p. Lloyd-George'a“. Listy z Irlandji.

udatne nowele, naturalnie po angielsku“.

Ojciec z córką spotkali się w Londynie, a kiedy po serdecznym uściśnieniu się, popatrzył z okna wagonu na odchodzącą śliczną dziewczynę, pomyślał: Czy i z niej wyrośnie rewolucjonistka? (Listy z Irlandji). (Widziałam fotografię Mae-wy z pięknymi długimi włosami. Już je obcięła — mówił z żalem ojciec).

Do Dublina nie mógł się wówczas dostać Markiewicz, z powodu wojennego stanu w kraju. Odwiedził żonę dopiero w roku następnym i bawił kilka tygodni w Irlandji.

W lecie roku 1927 doszła go wieść, że zachorowała. Mieszkał wtedy w Warszawie, pracował w konsulacie amerykańskim.

Pośpieszył zaraz. Stan chorej był groźny, gdyż serce było bardzo „sfatygowane“.

Leżała w szpitalu Św. Patryka. Przed gmachem stały tłumy, dowiadując się o stan zdrowia swej opiekunki. Radio wydawało codziennie biuletyny.

Pani Konstancja nie poddawała się chorobie. Chciała jeszcze żyć, chciała pracować.

Ucieszyła się bardzo przyjazdem męża, rozmawiała z nim długo o sprawach Irlandji, pytała o Polskę, o jej politykę, o partje, o lud:

— A jakie tam u was drogi w Polsce? — bo ja przyjadę przecież do Was, chcę przyjechać...

**STARZY I
MŁODZI
CHWAŁA**

**ZAPEWNI
DOSKONAŁE
PRANIE**

MYDŁO JELEŃ SCHICHT

Były to prawie jej ostatnie słowa. Serce nie wytrzymało gorączki. Zmarła 17 lipca 1927 r.

Pogrzeb miała królewski. Ulicami Dublina szedł kondukt 150 tysięczny. Sztandary, wieńce od wszystkich partyj, z wyjątkiem rządowej.

I bardzo smutno było słyszeć, że miano w pogotowiu karabiny maszynowe na wypadek demonstracji i nie pozwolono oddać salwy honorowej nad grobem tej, która była jednym z pierwszych żołnierzy Zielonego Erynu.

Wszystko minęło. Dziś na czele narodu stoi przyjaciel i współpracownik pani Markiewiczowej: de Valera i prowadzi go po linii zupeł-

nego uniezależnienia się od Anglii. Węgiel Irlandja bierze teraz—z Polski.

Czytałam wiele listów, otrzymanych przez p. Kazimierza Markiewiczza po śmierci żony. „Znana pisarka Mrs Cathel Brughe pisała: — „Jej strata jest dla Irlandji niepowetowana. jej pamięć będzie natchnieniem dla przyszłej generacji. Nie tylko za jej cudowną odwagę i patriotyzm kochaliśmy ją, ale za wielkoduszność i przedziwną dobroć dla wszystkiego, co biedne i cierpiące...“

Była, być może, stworzona na wielką szermierkę pacyfizmu. Krzywda narodu, wśród którego się urodziła, kazała jej przyodziać zielony mundur i włożyć w ręce broń.



Ulica Sackville w Dublinie po rewolucji 1916 r.

Pamiętnik Chłopki

4)

Leżeć nie było czasu, bo akurat nadchodziły sianokosy, więc po dwóch dniach trzeba było wstać i pomimo, że nogi się chwiały i w oczach ciemniało, trzeba było się wziąć do roboty. Dziecko owinięte w chustce spało w sianie, a ja od świtu do nocy musiałam ciężko pracować w dalszym ciągu, nie dojadając, z tego też powodu dziecina, nie mając pod dostatkiem pokarmu, kwiliła po całych nocach, nie dając odpocząć, a nawet oka zmrużyć. Mąż też z tego powodu złościł się i klął na czem świat stoi, a w domu był coraz rzadszym gościem. Gdy już nareszcie była nadzieja, że człowiek się wreszcie doczeka swego tak spragnionego kawałka chleba, zaczęli pogadywać ludzie, że bolszewicy idą i zabierają zapasowych do wojska. Zadrżałam z przerażenia. Czyż nie koniec męki? Nadchodzi wreszcie chwila powołania męża do wojska, a ja pozostaję się sama z maleńkim dzieckiem. Rozpacz moja nie ma granic. Tu żniwa, tyle roboty, znikąd pomocy, nająć niema za co. Boże, Boże, zlituj się! Lecz na rozpacz niema czasu, trzeba się brać za kosę i rozpoczynać żniwa, bo głód dokucza. Radziłam sobie, jak mogłam, trochę sama, resztę przeważnie do zwózki wynajęłam i z biedą zebrałam z pola. Korzystała jednak z tego nie było mi jeszcze przeznaczone, bo bolszewicy nadchodzą, a że akurat w naszej okolicy wypadła pozycja obronna, więc nakaz jest usuwać się. Co się wtedy działo w moim skołatanym sercu, tego wypowiedzieć nie zdolam. Spakowałam moją nędzną chudobę na lichy wóz i z trwogą czekałam, co będzie dalej, alisci nie czekając długo, zaczęły grać armaty, za chwilę granaty zaczęły się rwać z hukiem nad głowami, a z lasu poczęły się wylaniać ohydne postacie strasznych bolszewików. Nie czekając dłużej, trzęsąc się ze strachu, zaczęłam szkapinę do wozu, porwałam maleństwo i pod gradem kul uciekałam wraz z innymi dalej od pozycji. Ponieważ bolszewicy zajęli już naszą okolicę, więc uciekaliśmy w stronę Mińska Mazowieckiego pod bolszewików, którzy po drodze rabowali z wozów, co tylko się dało. Jechało nas kilkadziesiąt fur, więc gdzieśmy tylko przystanęli, zaraz samoloty polskie zaczęły krążyć nad nami i myśląc, że to obóz bolszewicki, obrzucali nas zaraz bombami, a nawet artylerja wzięła nas na cel i zaczęła posyłać kartacze. Kręciło się wszystko pod gradem kul, jak muchy w ukropie, nie wiedząc, gdzie się podziać, aż w końcu rozjechali się po lesie każdy oddzielnie. Po kilku dniach takiej tułaczki głodni i ledwie żywi ze strachu, wśród łun pożarów i grzmotów armat zauważyliśmy, że bolszewicy zaczynają się cofać w popłochu, zabierając po drodze konie, wozy i mężczyźni ze sobą. Z tego powodu zapanował istny sądny dzień, gdzie kto mógł uciekał, aby uniknąć bolszewików i ocalić podstawę swego bytu konia i wóz. Przyczepili się też i do mnie, ale widząc wóz połamanym i lichego bardzo konia na moje usilne prośby puścili mnie w spokoju. Gdy ta horda się już przewaliła i strzały ucichły, zaczęli się wszyscy zbliżać do opuszczonych gospodarstw, więc podążyłam i ja za innymi. Tu czekała mnie straszna rzeczywistość. Zboże doszczętnie zniszczone, siano spalone, kartofle i te nawet nie ocalały, co nie wykopane to najokropniej stratowane. Dom coprawda pozostał, ale ani okien, ani drzwi, nawet komin rozebrany. Słowem pustka i ruina zupełna, tyle pracy i zabiegów poszło na marne i pozostało znów widmo straszego głodu. Bolszewicy zostali wprawdzie odparci, Polska ocalała, ale co teraz robić, czem obsiać? Czemu żywić konia i krowę? Z czego od-

dać dług i czem cały rok przeżyć? Po wylaniu morza leż wzięłam się gorliwie do pracy. I znów wszystko sama, uprzątnęłam pozostałe resztki zboża, doprowadziłam do jakiegoś takiego ładu izdebkę i wzięłam się do roboty w polu, bo nie było nadziei, żeby mąż na jesienne roboty wrócił. Zasiałam resztkami zboża kawałek pola, skosiłam trochę potrawu, wykopałam resztki kartofli i tak pracując ciężko od świtu do nocy, a nawet nieraz i w nocy, doczekałam się późną jesienią powrotu męża. Nadeszła znów ciężka zima głodna i chłodna, a potem jeszcze cięższa wiosna i przednówek. Na samo wspomnienie aż ciarki przechodzą, co człowiek musiał przeczekać i napracować się, żeby obsiać i obsadzić znów jako tako pole i nie umrzeć z głodu. Łudził się tylko człowiek nadzieją, że może kiedyś będzie lepiej, że może zajaśnieje jakiś jaśniejszy promyk, i tem tylko żył. Pracowaliśmy też oboje z mężem, ile tylko starczyło sił, obrobiliśmy swoje liche piętnaście mórg i jeszcze trzeba było coś dorabiać, bo tu tyle potrzeb. Siostrę trzeba było splacać, stodółkę jakakolwiek postawić i obory też nie było, a mieszkanko też tylko z łaski, więc nie dojadając i nie dosypiając, pracując jak woły, oszczędzaliśmy każdy krwawo zapracowany grosz, byle kiedyś było lepiej. Za dwa lata powiłam drugą córkę. Mąż wściekał się poprostu, że złości nie szcędząc mi różnych docinków, a cóż ja byłam winna i to maleństwo, co go tak ojciec nienawidził? Zaczął znów uciekać z domu, a ja z rozpaczki wylewałam całe rzeki łez. Zrobił się też niezwykle gwałtowny, za byle co bił mnie, że siniaki prawie nie schodziły ze mnie. Cóż było robić? Cierpiałam tak wszystko pocichu, bo nawet poskarżyć się nie miałam przed kim. Zajmowałam się gorliwie pracą i w niej znajdowałam ukojenie. Co zaniedbał mąż, to ja starałam się naprawić. Zaprowadziłam warzywnictwo, które na naszej ziemi niezgorzej się udawało, chowałam cielęta, siałam len i wyrabiałam płótno, słowem pracowałam, jak tylko mogłam, wychowując przytem dwie nielubiane przez ojca dziewczynki. Splaciliśmy już trochę długu, postawiliśmy niewielką stodółkę i dochowaliśmy się dwóch krow. Było to wszystko owocem czteroletniej pracy. Męczyłam się tylko w tej jednej maleńkiej izdebce i pragnęłam nadewszystko, żeby się kiedyś w życiu doczekać własnego „kąta“ i być gospodynią na własnych śmieciach. Mieszkając w jednej sieni i w jednym podwórku, nie mogłam chować żadnego drobiu, ani nawet świni, gdyż rodzicom męża wszystko to przeszkadzało, a chcąc uniknąć przykrych kłótni i nieporozumień, wolałam już nie nie chować.

W roku 1925 doczekałam się wreszcie syna, a z nim i nowych trosk, bo przebywało coraz więcej pracy, a przytem zaczęłam zapadać na zdrowiu, czując dotkliwy ból w krzyżu, a widocznie z nadwyrężenia żył zaczęłam stopniowo tracić władzę w prawej ręce. Nic zresztą dziwnego na taką pracę, sama sobie nieraz się dziwiłam, skąd mi się bierze tyle siły i zdrowia, ale i ono z czasem się wyczerpało. Do tego jeszcze przybyło mi najokropniejsze zmartwienie, okazało się bowiem, po roku, że ten tak upragniony przez ojca syn jest kaleką na oczy, mianowicie nie widzi na jedno oko zupełnie, a na drugie bardzo mało pomimo że ma najczyściejsze i najnormalniejsze oczy. Zdumiewali się lekarze, że coś podobnego jeszcze nie widzieli i pomimo kosztów nie poradzić się nie dało i dziecko pozostało ku mej wielkiej rozpaczce prawie niewidome. Skończyły się wreszcie lepsze czasy, nad-

szedł rok 26 — 27, a z nim kryzys i nowa niedola. Jeszcześmy nie zdążyli spłacić wszystkiego długu siostrze, a o postawieniu choćby najskromniejszego domu nie było już mowy, coraz to przygniatały większe podatki, ceny na produkty wiejskie spadły, czasy stawały się coraz cięższe i nadzieja na lepsze jutro znikła zupełnie. Pomimo, że pracujemy nadal wytrwale i dzieci już pomagają, jednak końca z końcem związać nie można. O ulepszeniu czegoś wogóle na wsi już dzisiaj myśleć nie można. Żyje się tylko z dnia na dzień i nawet na ubranie i buciki dla dzieci do szkoły nie wystarczy, już nie mówiąc o sobie, kiedy jedno buty czy ubranie nosi się po kilka lat, pomimo, że ono jest dzisiaj nawet dość tanie, ale i na to nie można sobie pozwolić. Jak się żyje, to doprawdy strach pomyśleć. Mięsa nie jada się zupełnie, na mleko też nie można sobie pozwolić, bo trzeba je sprzedać na podatki i choć na sól, bez której się nie można zupełnie obyć. To też ludzie wyglądają nędznie, szerniali na twarzy o przygastych oczach, niechętni i źli. A już najgorzej to serce boli patrzeć na dzieci, blade, mizerne, smutne, a przytem bose i obdarte.

Co z tego, że człowiek pracuje i pracuje? Przecież z tej pracy nie ma nic dosłownie. Gnieździ się nas pięć osób w jednej małej izdebce i to lichej, a do tego niema nadziei, żeby można w przyszłości coś pobudować. Obórka (ze starej szopy) też się wali, a na nową niema funduszków. Cały dochód to są trzy krowy, z których czerpie się na wszystko fundusze, no i cośkolwiek latem z warzywa, ale i to pomimo okropnej pracy dzisiaj się wcale nie oplaca. Pozatem grunt jest tak lichy, że zboża ani kartofli sprzedać nie można. Więc cała podstawa bytu są trzy krowy. Z nich trzeba wyciągnąć przeszło trzysta złotych podatku, jakie takie ubranie, mydło, naftę, sól, zapałki, cukier choć dla chorego dziecka, kilo słoniny na miesiąc, reparacja narzędzi rolniczych, bo o kupnie nowych to już niema mowy. Do tego dochodzi jeszcze kupno zeszytów i książek dla dzieci do szkoły i inne drobne rzeczy, bez których się obejść trudno. Na wszystko dać muszą te krowy, które przecież cały rok nie doją, tylko przeciętnie, jakieś osiem miesięcy, więc jak tu żyć? Zarobić już nigdzie nie można, bo i na swoim jest co robić na dwoje ludzi, nawet trzeba porządnie się naharować i to o głodzie. Bo jakże się dzisiaj żyje i czem? Przeważnie kartoflami. Na śniadanie gotuje się zupę z kaszą czy żytnią zacierką, zabieloną mlekiem, na obiad to już cokolwiek poświęci się słoniną kartofle, a do tego czysty żur czy mizerna na pół postna kapusta, wreszcie na kolację po kawałku czarnego chleba, a do tego pozostały z obiadu barszcz czy kapusta. Małym dzieciom tylko się daje po kropli mleka, bo starsi na taki smakołyk nie mogą sobie pozwolić. Na przednówku często i tego niema. Na takie rzeczy, jak mięso, masło, jajka, cukier, nikt absolutnie nie może sobie pozwolić w najuroczystsze nawet święta. Pozatem ludzie żyją jak odludki, wszelkie zabawy, wesela, chrzciny i inne uroczystości rodzinne i towarzyskie zupełnie wyszły z mody.

Jeżeli ktoś pismo jakieś prenumeruje, to napewno składa się na to kilku, a nawet kilkunastu gospodarzy i to najczęściej zalegają w prenumeracie. Co do organizacji, to sama należę od kilku lat do Koła Gospodyń Wiejskich, lecz w tych kołach nic się nie robi, żeby choć trochę ulżyć losowi wiejskiej kobiety. W tym roku niby zaczęty jest kurs tkacki, lecz opłaty i składki są tak wysokie, że poprostu nie można sobie na to pozwolić. Chciałabym koniecznie ten kurs skończyć, żeby potem może cokolwiek zimową porą zarobić, lecz strasznie mi jest ciężko, bo poprostu o grosz jest dzisiaj na wsi trudno, a cóż dopiero mówić

dzisiaj o złotych. Podatki są tak duże, że wszystko pochłaniają i tylko o nich trzeba myśleć i jeżeli dziś ktoś ma więcej jak jedną krowę, a nie chce widzieć sekwestratora, to musi się wszystkiego wyrzec nawet własnego życia, a myśleć tylko o podatkach. Jedyną troską, która mnie teraz trwogą przejmuje i z głowy dzień i noc nie schodzi to są dzieci, co z nimi w przyszłości będzie, jak im byt zapewnić. O tem, że mnie kiedyś będzie lepiej, przestałam już myśleć. Nie będę mieć więcej dzieci, a z tem i mniejszy obowiązek co do ich wychowania. Przecież teraz wychować dzieci to jest poprostu męczeństwo. Serce kraje się poprostu z bólu, gdy odmówić mu trzeba kawałka chleba i szklanki mleka. Rozpacz targa nerwy, jak patrzy się na dziecko, blade, mizerne, szczupłe i wątłe, a nie można dać mu tego, co potrzebne jest dla pozyskania sił i zdrowia. Już teraz nie dbam wcale o siebie, odmawiam sobie wszystkiego prócz łez, byle tylko ulżyć doli dziecka. Lecz żadnych widoków na przyszłość niema, te piętnaście mórg marnej ziemi nie można już podzielić na trzy części, bo cóżby z tego było? A przecież i człowiek potrzebuje na starość na czemś dożyć, zresztą chłopiec ośmioletni kaleka, dla niego by się to przydało, gdyż on już musi pozostać na roli ze względu, że innej przyszłości dla niego niema. Pozostają dziewczęta, dla nich już niema poprostu wyjścia. O posagach teraz niema mowy bo skądże, gdy na sól braknie. Choćby do służby, ale gdzie ją teraz znajdzie? Dać jakiś zawód, na to znów trzeba funduszków, a skądże ich wziąć. Są to dziewczęta niezwykle zdolne, wzorowo się uczą i zdumiewająco są pojętne, tylko wątłe i szczupłe. W tym roku już jedna kończy siedem oddziałów, a na przyszły rok druga, ogromną mają chęć uczyć się dalej, ale cóż z tego? Co ja nieszczęsna biedna matka na to poradzę. Ból sercem targa, chciałoby się dać temu dziecku coś na przyszłość. Chciałabym wywalczyć im lepszą dolę od swojej, bo wiem, jak mnie ciężko było żyć na świecie, a teraz jeszcze ciężiej patrzeć na niedolę swych dzieci i beznadziejną ich przyszłość. Gdybym miała jakieś znajomości, jakąś protekcję, to starałabym się na wszystko umieścić dziewczynki w jakiejś szkole zawodowej. Możeby się można było wystarać o jakieś ulgi, zniżki czy coś, ale nie znam nikogo takiego i nie wiem, gdzie się udać z mojem zmartwieciem. Jeżeli ktoś będzie czytał ten mój krótki pamiętnik, a nie zapomni i jeżeli to będzie w jego mocy, pomoże cośkolwiek wybrnąć mi z mego zmartwienia, to do śmierci byłabym mu nieskończenie wdzięczna. Nie mogę sobie wprost pomyśleć, jakążby radość rozpieraała moje stroskane matczyne serce, gdybym widziała swoje mizeraki uczące się dalej.

Kończę ten swój opis czyli krótki pamiętnik i chciałabym, żeby trafił do serca ludziom, którzy rozumieją ludzką niedolę i odczuwają ciężkie życie, trudy i prace wiejskiej kobiety. Nie pragnę nagrody tylko współczucia. Bo doprawdy niema chyba na świecie więcej zapomnianej i niedocenianej istoty, jak wieśniaczka, a najbardziej u nas w Polsce. A przecież my wszystko składamy w ofierze ojczyźnie i społeczeństwu, a wzamian nie dostajemy nic. Wszystko, co napisałam, jest najszczerzą prawdą, a są to tylko wyjątki, bo gdybym chciała napisać cały ogrom niedoli i nędzy, musiałabym pisać nie kilka tygodni, ale kilka lat i być uczoną. Nie dziwcie się, że są błędy i niedokładności, bo przecież jestem samoukiem, a pisałam to zmęczona całodzienną pracą, chorą ręką, często długo w noc, gdy oczy ze zmęczenia kleiły się do snu i przy nikłym świetle przykręconej naftowej lampki, a w dodatku pokryjomu przed mężem, żeby się nie wyśmiał ze mnie, że bawię się w uczoną osobę.

Do Chin

Zjawiała się u mnie nieoczekiwanie, nieznana, obca. Wysoka, szczupła. Ciemne obwódki okularów wydają się ogromne przy jej drobnej twarzy.

— Dr. Stermecka, — przedstawia się.

Jest lekarką. Przyjechała z Chin, gdzie pracuje stale. I bez wstępów wyluszczyła, że przybyła do kraju, wysłanniczka jednej z polskich placówek organizowania pomocy lekarskiej misjom katolickim. Podjęła się zwerbowania w Polsce czterech lekarek, któreby mogły podjąć pracę lekarską na terenach misyjnych w Chinach.

— Pani mi musi pomóc. Dowiedziałam się, że pani o tych rzeczach już gdzieś pisała, więc pewnie je pani rozumie i czuje. Pragnę bardzo, aby pani zechciała sprawę tę poruszyć w prasie.

Spotkałam ją potem w domu zakonnym SS. Urszulanek, gdzie otacza się ją specjalną, pełną ciepłą atencją. Proszę, aby opowiedziała o sobie. Wywołałam temień zająpotania w jej oczach.

— Kto panią zainspirował do tego egzotycznego postanowienia? — pytam.

— Grupa Sióstr Urszulanek z zakładu naukowego we Lwowie, gdzie pracowałam jako lekarka szkolna, wybierała się właśnie do Chin. Wyruszały na misję. Pewnego dnia powiedziały mi: jedź z nami. Pożegnałam przyjaciół i znajomych, spakowałam manatki, no i... pojechałam...

— Tak odrazu?...

— Odrazu, proszę pani — uśmiechnęła się pani doktor. — Już w pierwszej rozmowie na ten te-



Dr. Jadwiga Stermecka.



Matka chińska z dziećmi.

mat, na zapytanie „czy chcę“ powiedziałam — „tak“. Pomyślałam, że jestem tam potrzebna.

Spojrzała w okno, zalane słońcem. Oczy ma pełne duszy. W jej wielkiej, nieco szorstkiej prostocie jest jednak pełnia kobiecości. Patrząc na nią z ciekawością. Odczuła to chyba, bo uśmiechnęła się pobłażliwie.

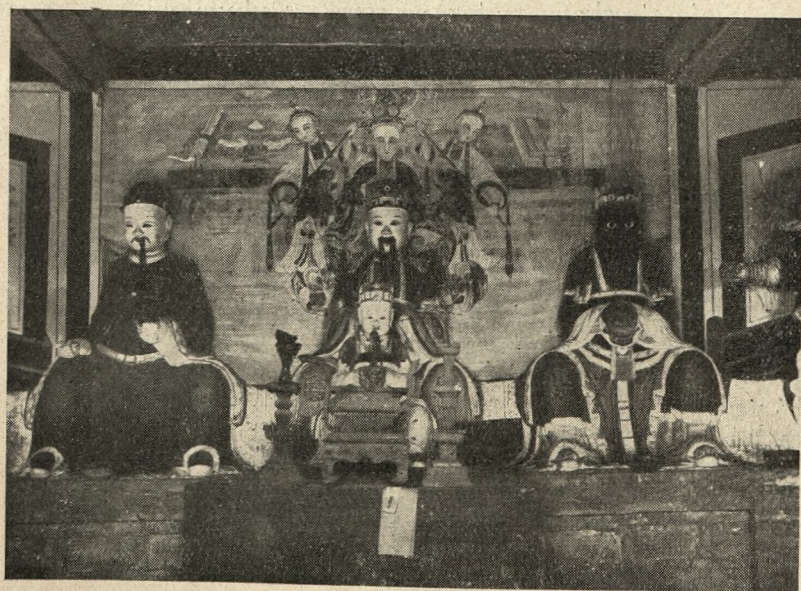
— To było jednak ryzyko — zauważyłam nieśmiało.

— No, zapewne, ale pani wie: jak się kobieta uprze... Dziś, po sześciu latach pracy dla Chin, wrócę do nich z radością. Widzi pani — nie żałuję.

I odrazu zaczęła mówić o potrzebie chrystyanizmu wśród żółtych.

— Właśnie tam, więcej może, niż gdziekolwiek indziej tak bardzo potrzebny jest chrystyanizm. Kto widział zbliżone okrucieństwo Chińczyków, kto poznał krzywdę kobiety chińskiej, jej niewolę duchową i niemal fizyczną, ten dopiero zdolny jest całkowicie zrozumieć i ocenić, ile dobra tym ludziom przynieść może chrystyanizm.

Życie Chińczyków charakteryzują dwie rzeczy: kastowość, jako źródło obojętności na największe nawet cierpienia człowieka, nie należące do „mojej sfery“, no i twarda, pełna zimnego okrucieństwa walka o byt. Gdyby mnie ktoś zapytał, jaki ustrój panuje w Chinach, musiałabym odpowiedzieć — paradoksalnie: nędza. Ogromna, straszliwa nędza, o której my w Europie nie mamy wyobrażenia. W roku 1934 zmarło z głodu milion ludzi. Z tego okrut-



Fragment świątyni chińskiej.



Rodzina chińska.

nego zniwa więcej niż połowa przypada na Chiny.

Syn państwa Niebieskiego Środka rodzi się, żyje i umiera w nędzy. I ten smutny byt ludzi o bladej żółtych twarzach nie ma wśród swego trwania ani jednego promienia nadziei. Buddyzm jej przecież nie daje...

Urwała na moment, aby pozbiierać rozsypane myśli. Ale już po chwili podejmuje z entuzjastycznym uporem. Głos jest ciepły, głęboki.

— Niech akatolik mówi, co chce — lecz jedynie chrystjanizm, jako religja nadziei, która uznała ziemskie bytowanie człowieka za trampolinę do życia przyszłego, może ozłocić nędzę radosnem czekaniem. I choćby pokazywała tylko miraż, jak niektórzy twierdzą, to przecież mają one większe znaczenie, niż wszystkie teorie socjalne, które chcą zbawić świat nędzy. Odwołując się bowiem do duchowej potęgi trwania, która w każdym człowieku potrafi być silną, jeśli krzepi ją nadzieja szczęśliwego końca, umie katolicyzm wydobyć z uspienia wartości pozytywne — i przedewszystkiem celowe.

Splotła ręce na kolanach i zamilkła znowu. Patrzy mi w oczy roztopionem w słońcu spojrzeniem. Za chwilę wstaje z trzcinowego fotela.

— Pokażę pani fotografie...



Chińscy biedacy.

Ale ja jeszcze:

— Dobrze. Oczywiście... Ale proszę mi powiedzieć, jak jest z lekarzami — co lekarz, uzdrawiając chorych, może zdziałać dla mi sji?

Usiadła spowrotem.

— Aha, tego pani nie powiedziałam. Ale to bardzo proste. Pewnie sobie pani przypomina z historii sprawę chrystjanizacji Pomorza?

Dość niepewnie zaczęłam dłużyć w pamięci.

— Długo i bezskutecznie zabiegali rozmaici książęta i królowie polscy o pozyskanie Pomorców dla chrześcijaństwa. Ale wysłani przez nich misjonarze niczego nie zdziałali, oprócz tortur dla siebie. Byli ubodzy, niepozorni, niczem nie potrafili zaimponować. Dopiero wysłany przez Krzywoustego Otton z Bambergu dokonał dzieła. A jak? Olśnił ich bogactwem szat i wspaniałością świąty, poprostu zaimponował dumnym Pomorcom, jako przedstawiciel nowej religji: dopieroż ten ich Bóg musi być wielki i potężny, jeśli oni tacy możni i wspaniali! Tak oni rozmawiali. Jeśli chodzi o Chiny, powtarza się tu — mutatis mutandis — to samo zjawisko. Kościół od szeregu wieków bezskutecznie usiłował pozyskać ich dla swej nauki. Przyczyny były różne, ale pewnością nienajmniejszą był brak odpowiedniego podejścia. Chińczyków charakteryzuje nieufność uparta, naiwna może, ale trudna do przełamania. Pomoc lekarska, podana w imię nowej i zrazu zupełnie nieprzekonywującej idei, okazała się tu doskonałym środkiem, temwięcej, że tamtejsza medycyna jest na nasze pojęcia poniżej wszelkiego poziomu. Do wdzięczności wobec lekarza przyłącza się podziw dla jego wie-



Słynny mur chiński.

dzy, sympatja i zaufanie. Na tem już można coś budować. Czem dla Pomorzian był splendor zamożności, który przemówił do nich jako potęga obcego im Boga, tem dla Chińczyków jest czyn konkretny, powiedzmy, nawet dotykalny, nacowny. Oto psychologia faktu dokonanego...

Czas mi na dworzec. Chcę się zebrać z panią doktor. Ale nie. Pośpiesznie zarzuca płaszcz na ramiona. Wychodzimy razem.

Moja towarzyszką mówi wciąż jeszcze o naszej sprawie. Przysięgam, że napiszę do „Bluszczy”. Prosi o to z powagą, ale z całą prostotą i bez afektacji. Wierzy mocno w to, że zjawia się owe upragnione lekarke. „Przecież to wielkie szczęście, pracować dla chwały Boga i dobra bliźniego”. Dla niej to jest aksjomat, tętniący krwią serdeczną, w tem znalazła prawdę życia i radość jedyną. Dlatego też nie dociera do jej



Chińska panna młoda.

świadomości myśl, że ktoś mógłby być dla tej sprawy obojętny.¹⁾

— Jestem przekonana — pisała potem do mnie — że jedynie moja nieudolność przeszkadza mi w pozyskaniu lekarek dla misji. Moja choroba przykuła mnie do łóżka całkowicie. Cóż mogę teraz uczynić dla sprawy? Ten bezwład mężczyźnie stasznie i sen z oczu spędza. Niechże Pani droga napisze o tem w prasie jaknajwięcej. To jedyny sposób. Tyle jest w Polsce lekarek, do których dotrzeć mogą słowa gorącego, sercem podsykanego artykułu. Słowo, chociaż pisane to przecież potęgą — może więc obudzi drzemiące dotąd, lub nieświadomione powołanie i wskaże drogę do wielkiego szczęścia.

...Może obudzi!...

¹⁾ Informację udziela zainteresowanym dr Jadwiga Stermecka, Lwów, Św. Jura 1. Sacré Coeur.

M. ZNATOWICZ - SZCZEPAŃSKA

Z życia prowincji

KATOWICE.

Życie organizacyjne w Katowicach rozrasta się z roku na rok w sposób gwałtowny. Słychać nawet często o przeroście tego życia, o nadmiernej ambicji zrzeszeń, w których chęć zdobycia jaknajwiększej ilości członków i zaimponowania społeczeństwu jaknajwiększą liczbą udanych i tłumnych imprez, usuwa czasem na plan dalszy cele i zadania ideowe. Rzecz to ludzka i wszędzie spotykana.

Może tylko dodatnie i ujemne strony działalności społecznej jaszkrawiej tu występują dlatego, że tu wogóle, jako w ośrodku wielkiego przemysłu życie bije tętnem wzmożonym, a teren jest szczupły i ludzie działający zawsze ci sami.

Tak, czy inaczej, pęd do rozbudowywania i wzmacniania na Śląsku życia towarzyskiego polskiego jest ogromny. Z roku też na rok widać postępy w organizacji pracy stowarzyszeniowej: ulepsza się i skraca metody działań zasadniczych, stwarza się tradycje imprezowe, ustala się w pamięci ogółu niektóre daty, utrwała opinię niezawodnie udających się przedsięwzięć. Coprawda dostęp do kas publicznych i do kieszeni prywatnych jest tu chyba łatwiejszy niż w innych dzielnicach Polski. Czy dlatego, że więcej tu dużych stanowisk, czy, że bliższe oczom bezrobocie, czy, że czują się tu ludzie na kresach Ojczyzny? Już

w tym roku dały wielkie doroczne bale ponad dwa i trzy tysiące zł. czystego dochodu.

Rozgadałam się o balach ale nie brak u nas i poważniejszych wydarzeń życia towarzyskiego. Od jesieni r. ub. rozpoczęły się stałe piątkowe odczyty Instytutu Śląskiego w świeżo wykończonym Domu Oświatowym przy ul. Francuskiej. Dom to wspaniały, nowoczesny, mieszczący w sobie Towarzystwo Czytelni ludowych z biblioteką i salą dla publiczności, Bibliotekę Wojewódzką, Komendę i Składnicę Harcerską, oraz mnóstwo innych instytucyj. Jest tam sala odczytowa, bardzo ładna architektonicznie, jasna i ciepła. Na odczyty zaprasza Instytut Śląski profesorów naszych uniwersytetów. Mówili już prof. Nitsch, prof. Stołyhwo i inni.

Te odczyty, wraz ze stałe wydawanymi komunikatami i gromadzeniem materiałów naukowych do historii Śląska, składają się na bardzo żywą działalność niedawno powstałego Instytutu Śląskiego.

Drugie ważne i mile zdarzenie w życiu społecznym Katowic zaszło również niedawno. W dawnym lokalu Izby Handlowej przy Placu Wolności zamieszkał oryginalny trój-związek: Lekarze, Inżynierowie i... Panie Domu. (Naukowa organizacja gospodarstwa domowego.). Te trzy, dobrze już zasłużo-

ne społeczeństwu towarzystwa, połączyły się celem ożywienia i pogłębienia życia towarzyskiego Katowic. Panie gospodarują panom, dbając o lokal i o stałą przekasę przy wieczornych posiedzeniach, a wszyscy razem korzystają, obok własnych apartamentów, ze wspólnej wielkiej sali na odczyty i zebrania. Poświęcenie tego ogniska dało asumpt do przemiłej towarzyskiej zabawy z tańcami, bridge'm, bufetem i szeregiem bardzo udanych przemówień. Z zupełną bezstronnością zaznaczyć muszę, że najdowcipniej i z największą swadą przemówiła prezeska Nauk Org. nasza „Gospodyni Śląska” pani Kamilla Nitschowa. Z zapowiedzianych przez nią „czwartków towarzyskich” odbyły się dwa b. interesujące: norwidowski z piękną deklamacją i — kolend również doskonale wykonany.

Te „rozrywki umysłowe”, inicjowane przez nasze panie, nabiorą z pewnością głębi i rozmachu, gdy ostatecznie zorganizuje się oddział Katowicki „Stowarzyszenia Kobiet z Wyższem Wykształceniem”. Prace przygotowawcze są już daleko posunięte, gdyż odbywają się zebrania i nawet referaty. Niema tylko jeszcze nowy klub lokalu i zaczyna dopiero wyrabiać miejsce w natłoku innych towarzystw.

W życiu teatru mieliśmy również chwilę udaną. Była nią premiera

sztuki J. Vojnovića, p. t. „Matka Jugowiczów” (w tłumaczeniu podpisanej). Rolę tytułową zgodziła się objąć, jak przed 10 laty w Krakowie, Stanisława Wysocka i przyjechała w tym celu do Katowic na zaproszenie Tow. Polsko-Jugosłowiańskiego, które całą tę imprezę urządziło. Wystawienie poematu dramatycznego zmarłego niedawno księcia poetów jugosłowiańskich odbyło się w sposób niezmiernie uroczysty, przy wypełnionej do ostatniego miejsca widowni teatru. Były przy tej okazji i feljetony w pismach i audycja w Radio i przemówienia ze sceny i kwiaty dla wielkiej artystki. Powtarzano potem sztukę po południu dla młodzieży szkolnej trzy razy, zawsze przy komplecie, tak, że oddział Katowicki Ligi Polsko-Jugosłowiańskiej może uważać to przedsięwzięcie za nowy sukces swej i tak żywej działalności.

Nowy numer „Prasy”

Wyszedł z druku zeszyt 1—3 za 1935 r. organu Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism, redagowanego przez Stanisława Kauzika.

Treść numeru jest następująca: Główny Franciszek — Rola ogłoszenia w gospodarce wydawniczej; Heinrich Stefan — Propaganda własna czasopisma w dziedzinie prenumeraty; Dr. Mergel Władysław — Prasa estońska; Oszełda Władysław — Metropolia a prasa emigracyjna; Czerwiński Jerzy — Odmowa umieszczenia sprostowania prasowego; Zajdenman Jerzy — Tajemnica śledztwa a informacja prasowa; Wzrost ilości ogłoszeń prasowych w Anglii; Nowe drogi reklamy niemieckiej; „Agencje Informacyjne”; Kolportaż T-wa „Ruch” w 1934 r.; Prasa Ameryki Północnej w cyfrach; Prasa duńska w cyfrach; Rozwój prasy w Persji; Życie organizacyjne (Prace Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism; Przyjęcie Związku Wydawców na cześć p. Prezydenta i Prezydium m. W-wy; Organizacje dziennikarskie zagranicą i u nas); Kronika Krajowa; Ustawy, rozporządzenia i orzeczenia sądów; Prasa na szerokim świecie.

Cena zeszytu 2 zł. 50 gr. Do nabycia w administracji „Prasy”, Warszawa, Krak. Przedm. 40 m. 11 oraz w większych księgarniach i kioskach „Ruchu”.

KĄCIK HUMORU.

W „Expressie Porannym” w dziale „Co w trawie piszczy” czytamy następującą anegdotę.

NIESPODZIANKA.

Kłós zadzwonił do mieszkania pewnego młodego, początkującego lekarza. Sama pani doktorowa otwiera drzwi i ze zdumieniem stwierdza, że jest to pacjent.

— Czy nie mógłby pan być tak dobrym i przyjść jutro rano?

— Dlaczego? Czy pana doktora niema w domu?

— Jest, ale pan jest jego pierwszym pacjentem, a ponieważ jutro wypadają jego imieniny, więc chciałam zrobić mu niespodziankę!

Z ubiegłego tygodnia

(Wizyty, które mają uspokoić, budzą zaniepokojenie. — „Wyjaśniona sytuacja” skłania do pesymizmu. — Zniewalający uśmiech p. Edena).

Wizyty polityczne angielskich mężów stanu dotarły w chwili, gdy piszemy naszą kronikę — do Warszawy. To znaczy, że przyjechał do nas Lord strażnik tajnej pieczęci, Eden. Wizyty te są, jak je określają oficjalne komunikaty — informacyjne, służą bowiem zorjentowaniu się nietylko w sytuacji, co w możliwościach zapobieżenia skutkom obecnej sytuacji. Wspomniano już na tem miejscu, że aktywność rządu Wielkiej Brytanji jest jednym z najważniejszych po wojnie światowej wydarzeń w międzynarodowej polityce. Pakłada się wielkie nadzieje w talenty dyplomatyczne angielskich mężów stanu, ale jednocześnie budzą ich podróż zaniepokojenie, gdyż nawet laik wysnuwa te dość logiczne wnioski: — Widocznie nie jest dobrze, skoro ruszyła się Anglja!

Więc najpierw — spojrzenie w stronę Berlina. Wielogodzinne rozmowy z kanclerzem Rzeszy. Prasa podała relacje z tych rozmów, oczywiście dobrze przesiane przez gęste sito. Mimo to, nietrudno dostrzec, że sir Simon wrócił do Londynu z sercem nie lekkim. Kanclerz Hitler wynurzał się obszernie i szczerze, powiedział zresztą to, o co ciągle i zawsze podejrzewano Niemcy. Być może, że taka otwartość „wyjaśnia sytuację”, być może, że ją utrudnia. W Paryżu trzymają się raczej drugiej ewentualności, skoro posłowie Izby nie chcieli rozejść się na wio-

Dr. LEON LUSTER

Specjalista lekarskiej kosmetyki, chorób włosów i skóry twarzy

powrócił

Kraków, Florjańska 37.

senne ferie, twierdząc, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie. Tak samo i we Włoszech panuje pesymizm.

Rozmowy moskiewskie stworzyły natomiast pozory dla bardziej optymistycznych zapatrywań. Hymn angielski, grany przez orkiestry sowieckie, to jednak pocieszający paradoks. Uśmiech Edena na fotografiach, tak światowy i zniewalający, dodaje uroku tym ponurym sprawom, które były „przedmiotem” rozmów. Sowieccy politycy zapewniają, że przekonania ich są takie same, jak... troski rządów państw zachodnich. Powiedzmy, że w tej chwili przekonania i troski stały się wspólnym interesem. Dla ubicia tego interesu wybiera się minister Laval do Moskwy i w drugiej połowie kwietnia będziemy widzieli na fotografiach obok Litwinowa, Molotowa i Stalina białą krawat Laval, okrągłą jego buzię i rozwichrzoną czuprynę. Może także i uśmiech, mniej wprawdzie wytworny i mniej zniewalający, ale zadowolony z wyniku.

Zaczem, czego należy się spodziewać? Jeżeli odpowiemy krótko: paktu wschodniego, to byłoby to przedwczesne. Dziś przecież przyjechał do Warszawy Anthony Eden (piszemy te słowa 1 kwietnia) i w kwestji zbiorowego systemu bezpieczeństwa będzie miała też wiele do powiedzenia — Polska.

H. N.



SIMON I EDEN W BERLINIE.

Sir John Simon, angielski minister spraw zagranicznych i Anthony Eden przyjechali do Berlina i byli witani przez dostojników niemieckich. Na zdjęciu widzimy ministra Simona na prawo i niemieckiego ministra spraw zagranicznych Neuratha odjeżdżającego autem do Berlina z lotniska w Tempelhof.

Uroczyste posiedzenie Akademii literatury

Prelekcja W. Rzymowskiego o Maurycem Mochnackim i wręczenie nagrody młodych Jalu Kurkowi.

W d. 25 marca o g. 8-ej wieczorem odbyło się w siedzibie Akademii w dawnym pałacu Potockich, 4-te uroczyste posiedzenie publiczne Polskiej Akademii Literatury, związane z setną rocznicą śmierci Maurycego Mochnackiego.

Na posiedzenie przybyli: ministrowie oświaty Wacław Jędrzejewicz i spraw wewnętrznych Marjan Zyndram Kościałkowski, b. premier Janusz Jędrzejewicz, liczni przedstawiciele świata naukowego, literackiego i artystycznego.

Posiedzenie zagał prezes Polskiej Akademii Literatury p. Wacław Sieroszewski, który zaznaczył, że jednym z celów P.A.L. jest zbliżenie inteligencji pracującej z przedstawicielami literatury. W tym celu dwa razy do roku postanowiono urządzać uroczyste posiedzenia publiczne: w dniu 8 listopada — rocznicy otwarcia P.A.L. oraz na wiosnę w związku z jakąś rocznicą literacką. W zeszłym roku obchodzono setną rocznicę wydania „Pana Tadeusza”, obecnie P.A.L. składa hołd Maurycemu Mochnackiemu w setną rocznicę jego zgonu.

Następnie Akademik Literatury Wincenty Rzymowski wygłosił świetną prelekcję p. t. „Mochnacki w dziejach stulecia”.

Rzymowski przeprowadził analizę i rewizję stosunku do Mochnackiego, którego nie mogło zrozumieć ani ocenić jego pokolenie i pokolenia następne, żyjące pod sugestją klęski poniesionej w roku 1851.

Nakreśliwszy tło powstania listopadowego, prelegent przystąpił do scharakteryzowania wspaniałej postaci pisarza-żołnierza, odznaczonego złotym krzyżem „Virtuti Militari”, człowieka, który w „całym narodzie sam jeden przeziarał wypadki, niosące zgubę powstania, a czuł się bezużyteczny, aby je choć na godzinę w zgubnym pędzie powstrzymać”; w tym leży wielkość i tragizm jego życia. Przez cały ciąg powstania poszukiwał wodza — jedynowładcy i krzykiem uderzał w próżnię.

Rozumiał, że powstanie nie może pominąć w swych obrachunkach ludu chłopskiego. Hasłem rewolucji, które podnosił belwederczyca, hasłem a jednocześnie rachunkiem było: przełamać ten krąg niewoli, w jakim zamykała się Polska Kongresowa i rozsądzić ten pierścień przywileju, w którym zamykała się Polska szlachecka, pójść wszczepić aż do Dźwiny i Dniepru i włączyć — aż do uwłaszczenia i mobilizacji chłopów. Po upadku powstania: łatwa była pokusa, aby je potępić jako lekkomyślną próbę przełamania potęgi caratu. Mochnacki pokusie tej nie uległ i we wspaniałej swej książce „Powstanie Narodu Polskiego w r. 1850/51” raz jeszcze podkreśla swą bezapelacyjną wiarę, że powstanie udać się mogło.

W dalszym ciągu prelegent zajął się dłużej tą książką Mochnackiego, tak odbijającą od całej ówczesnej literatury na temat powstania i literatury emigracyjnej, podkreślając przytem czar prozy Mochnackiego.

„Na długo umilknąć miała orężna wrzawa, płynąca z pól, na których żołnierz polski walczył o wolność — kończy prelegent. Ale niech tylko na ziemi polskiej zatętni krok żołnierza, — wcześniej — niech zbuźni się wiara narodu we własną siłę, niech błysnie pierwszy sen o rycerskiej szpadzie, pierwszy orzeł na czapce krakowskiego strzelca, a myśl Mochnackiego odzyska wszystkie utracone prawa. Książka jego znów będzie nam drogą i jedyną prawdą.

Bo prawdą jest, żeśmy zwyciężyli, on zaś walczył i pisał, aby dowieść, żeśmy zwyciężyć mogli”.

Po wygłoszeniu przez Rzymowskiego prelekcji, transmitowanej przez radio, prezes Sieroszewski przeszedł do drugiego punktu wieczoru, wręczenia nagrody Kurkowi.

— My jesteśmy już przeszłością, — powiedział, — ale uważamy za swój obowiązek szukać związków z przyszłością. Jej to przecież zadaniem jest, aby ten filar, którym jest Polska w życiu narodów, był mocny, twardy i potężny. Dlatego to ustanowiliśmy nagrodę młodych i udzielały jej tym, którzy najlepsze rokują nadzieje. W roku zeszłym nagrodziliśmy Choromańskiego, dziś nagradzamy Jalu

Kurka za książkę „Grypa szaleje w Naprawie”.

Młody pisarz, odziany w skromny czarny garnitur, zbliżył się do stołu akademickiego i wzruszony przyjął z rąk Sieroszewskiego kopertę. Wszyscy Akademicy obdarzyli go serdecznym uściskiem dłoni.

— Nie przyjmuję tej nagrody, — powiedział, — za to, co napisałem, ale jako akt zaufania. Postaram się go nie zawieść. Za największe swe zadanie będę uważał zawarcie w doskonały kształt artystyczny, w pasjonującą formę ciepła, pragnień i namiętności „poleczeństwa”.

Po zamknięciu posiedzenia zebrani przeszli do dolnych salonów na towarzyską herbatkę, która wśród ożywionej pogawędki przeciągnęła się do północy.

Z teatrów

Teatr Aktora: „Pan Brotonneau” Cailaveta i Flersa.

Tak się złożyło, że dopiero teraz mogę napisać o tej sielance buchaltera, którą francuscy majstrzy sceny skąpali w ciepłem i przygnionem złocie jesieni. Coś ze zwarzonych przedwczesnie liści jest w tem krótkim szczęściu szarego „pracownika umysłowego”, któremu na imię milion, — tej pozornie bezdusznej maszyny do liczenia, która pod wyszarzaną kamizelką ukrywa gorące i tkliwe ludzkie serce.

Pan Brotonneau jest uczciwy, jak dziecko, a wspaniałomyślny, jak poeta. Zdradzany przez żonę, zwierza się ze swego ciosu dwóm swoim szefom, żydowskim bankierom, a żonie zostawia wolny wybór między sobą a szczęśliwym rywalem.

Ośmieszony, osamotniony pan Brotonneau znajduje niespodzianie prawdziwy uśmiech szczęścia w osobie młodej urzędniczki, która go rozumie i która go uwielbia, gotowa jest poświęcić mu swoje młode życie. Ludwika zamieszkuje u pana Brotonneau. Są szczęśliwi, prawdopodobnie czasem pobraliby się, gdyby pani Brotonneau, porzucona przez kochankę, nie spadła na głowę prawowitemu swemu małżonkowi. Pan Brotonneau kocha Ludwikę, ale lituje się nad żoną. Z naiwnością zacnego i słabego mężczyzny zgadza się, żeby żona zamieszkała w tej samej kamienicy i przychodziła do niego na obiady, podczas których obie panie Brotonneau prześcigają się we wzajemnych uprzejmościach. To rozwiązanie drażliwej sytuacji cieszy pana Brotonneau, ale nie podoba się opinii publicznej. Każdemu wolno mieć „przyjaciółkę”, ale trzymać przy sobie jednocześnie żonę i przyjaciółkę — nie! to niesłychane! Nawet szef jest tem zgorzony i oznajmia wyraźnie panu Brotonneau, że tę sprawę trzeba zlikwidować. I pan Brotonneau likwiduje ją w sposób, dostępny ludziom szarym i ubogim. Rozwód zadrogo kosztuje, przytem niepodobna dawnej żony porzucić w nędzy, — zostaje tylko jedno: rozstać się z Ludwiką.

Pan Brotonneau pokornie ulega tyranji

Smaczne ciasto na stole wielkanocnym jest największą chlubą dla Pani domu!!!

To też każda wzorowa Gospodyni powinna kupić zawczasu książkę wyd. „ŻYCIE PRAKTYCZNE” p. t.:

„Ciasta wielkanocne”

w której znajdzie wypróbowane przepisy i wskazówki.

Cena 1 zł., z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „B L U S Z C Z”, Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich większych księgarniach.

swojej Dulskiej, zaczynającej objęcie rządów domowych od awantury ze służącą, zgadza się nawet na włożenie znieawidzonej starej marynarki, żąda tylko jednego:

— Niech imię Ludwiki nigdy nie będzie wspomniane!

Pan Brotonneau należy do najlepszych kreacji Jaracza. Dla niego samego warto było wznowić sztukę, graną kilka lat temu. Perzanowska dobrze ujęła typ gęsi z pretensjami.

„Pan Brotonneau” w przedziwny sposób kojarzy się z początkiem twórczości Poli Gojawicyńskiej. Wkrótce po pierwszym wystawieniu tej sztuki czyli jakieś sześć lat temu, do redakcji „Bluszczu” weszła, a raczej wsunęła się nieśmiało młoda, skromnie ubrana osoba i na brzeżku biurka położyła mi szkolny kajet, zapisany gęstym, wyraźnym maczkiem.

Kajecik zawierał tylko jedną nowelkę p. t. „Joanna”. Była to krótkka, zwięzła, w swojej dokumentalnej prostocie, niemal, że szablonowa historia miłości młodej urzędniczki do żonatego szefa. Ale był w niej jeden moment dotąd w literaturze niewyzyskany.

Rozkochana dziewczyna idzie do teatru sama, bo „on” ma wieczór zajęty. Graja „Pana Brotonneau”. O kilka rzędów przed nią siedzi „on” z żoną. A na scenie powtarza się to, co przeżywa dziewczyna. Widzi swój los, swoją miłość i cierpienie. Zrozumiała, że jej szczęście nie ma przyszłości. Słowami: „Niech imię Ludwiki nigdy nie będzie wspomniane” zatrząskuje wieko nad swoją złudą i nadzieją. Na jutro sama prosi o przeniesienie do innego wydziału, aby nie spotykać się ze swoim szefem.

Nowela „Joanna” była pierwszym utworem Poli Gojawicyńskiej drukowanym w „Bluszczu”. Do czasu wznowienia „Pana Brotonneau” z autorki nieznaną zdążyła stać się jedną z najwybitniejszych pisarek młodszej generacji. Ale już w „Joannie”, wydartej z serca pod wrażeniem gry Jaracza, tkwiły w zarodku wszystkie elementy jej późniejszej twórczości; ta sama bezpośredniość w ujmowaniu faktu, ta sama zdolność sugerowania czytelnikowi swoich przeżyć i uczuć, przekonująca prostota opowieści...

„Joanna” to starsza siostra tych „Dziewczęć z Nowolipiek”, które w zaduchu ciasnych mieszkań i warsztatów drgały, jak struny, w oczekiwaniu na wielką, nigdy nie spełnioną miłość...

Teatr Aktora: „Plac Paryski 15” Vicki Baum.

Już „Ludzie w Hotelu” odkryli nam w autorce niemieckiej świetną malarzkę środowiska. „Plac Paryski” utwierdza nas w tej opinii. Tym razem nie chodzi o wielki hotel, tylko o „salon piękności” słynnej Heleny Broos, kobiety rzekomo czterdziestopięcioletniej, matki dorosłych dzieci, która dzięki swemu niezawodnemu systemowi zachowała świeżość i wdzięk wiosnianej młodości.

Cały trick polega na tem, że Helena ma



Jaracz jako pan Brotonneau.

naprawdę lat 25 i jest młodą dziewczyną, nieznającą życia i spragnioną miłości. Ta właśnie miłość źle ulokowana, o mało nie zrujnowała świetnie prosperującej firmy prowadzonej przez brata Heleny, sprytnego żydka z Iarnowa.

A było to tak. Po instytucie Heleny Broos za jedną z jej klientek, wziętą i nieco podstarzałą architektką włoczy się jej „przyjaciel”, na którego nawpół pieszczośliwie, nawpół lekceważąco woła „Pix” jak na pieska. Pixowi wpadła w oko Helena. Rzuciłby swoją architektkę, gdyby Helena była młodą, niewinną dziewczyną, ale nie doświadczoną czterdziestopięcioletnią kobietą. Wierzy, że pod jej wpływem odrodziłby się i wyzwolił z upokarzających więzów. Początek już jest zrobiony: Pix sprzedaje frak i smoking, aby kupić sobie książki prawnicze i rozpocząć przerwane studia.

Helena wierzy w możliwość jego odrodzenia. Kocha go pierwszą miłością i w namyślnym porywie wyznaje mu swoją tajemnicę. Ale tu przeliczyła się z siłami Pixa. Pierwsza ich noc miłosna obojgu przyniosła rozczarowanie. Pix wrócił spokojnie do złotej klatki i nie miał nic pilniejszego do roboty, jak rozgadać wyznanie Heleny. Wiadomość o tem, że słynna Helena Broos nie ma lat 45 tylko 25, budzi oburzenie wśród klientek i zagraża bytowi całego instytutu. Jakto? Więc ta wiekniasta młodość to tylko bluff? Więc ta olśniewająca cera jest skutkiem masażu, kremów i masek kosmetycznych?

I tu następuje scena jedyna w swoim rodzaju. Spokojna, kulturalna rozmowa dwóch rywalek, z których jedna młodsza, odstępuje drugiej starszej mężczyźnie, którego może jeszcze kocha, ale do którego już się rozczarowała.

A architektka, mądra, dzielna, ale już starzejąca się kobieta rozwija przed swoją rywalką teorię miłości.

— Nam, — powiada, — kobietom, cały dzień zajętym pracą zawodową, potrzebny jest mężczyzna, przy którym mogłybyśmy odpocząć, taki właśnie Pix. Męż-

czyzna naszego poziomu, mężczyzna stu-procentowy miałby dla nas zaledwie 10% swojej męskości, resztę zabrałaby nam jego praca zawodowa, ambicja, przyjaciele. A 60%-owy Pix jest wyłącznie do naszego rozporządzenia.

A zatem odwróciły się role. Dawniej mądzy mężczyźni szukali odpoczynku w ramionach laleczek i gąsek, dzisiaj mądre kobiety biorą sobie lalusiów i gigolaków. Smutne, co? Gorzej, bo często prawdziwe...

Inna sprawa, że takie właśnie rozwiązanie konfliktu miłosnego między Heleną a Pixem, jakie wybrała autorka, nie jest jedynym wyjściem z sytuacji. Przecież Pix, mógł zmienić protektorkę ze starszej na młodszą i urodziwszą i kochaną, zmieniając radykalnie trybu życia. Ostatecznie, mógłby zacząć się uczyć, zamiast godzinami czekać w aucie na kochankę. Helena, jako prawowita jego żona, w dalszym ciągu mogłaby udawać 45-letnią kobietę, doskonale zarabiając na siebie i na niego.

Rolę Heleny Broos z wdziękiem odtworzyła Halina Cieszkowska. Najbardziej fascynująca w pierwszym akcie, kiedy ukazuje się zachwyconym oczom klientek, jak zjawisko w ponsowej sukni z pękiem ponsowych tulipanów. W krótkich spięciach uczuciowych mniej efektowna.

Świetnym dyrektorem instytutu piękności był Daniłowicz. Benda bez szarży odtworzył typ białego niewolnika złotej klatki. Perzanowska była przekonującą architektką. Rój upiękuszonych klientek nie był najlepszą reklamą instytutu. Za to cała sztuka pulsuje kosmetyką. To jest jej prawdziwe serce, z którego bluzga nie krew, ale krem.

S. P. O.



Perzanowska i Benda jako Alix i Pix w sztuce „Plac Paryski 15”.

Przegląd Prasy

ZEBRANIE LIKWIDACYJNE „KOMITETU KOBIECEGO BUDOWY SAMOLOTU KU CZCI ŻWIRKI I WIGURY”.

Na łamach „Polski Zbrojnej” znajdujemy artykuł pani Jadwigi Krawczyńskiej, zaznajamiający nas z sytuacją lotnictwa kobiecego w Polsce.

„W Belwederze, u Pani Marszałkowej Piłsudskiej, odbyło się w tych dniach zebranie likwidacyjne „Komitetu Kobiecego Budowy Samolotu ku czci Żwirki i Wigury”. Komitet, powołany w celu ufundowania samolotu na challenge 1934 r. dla lotniczki polskiej, zamknął swą działalność dorazną, dokonawszy dzieła, pozostawiając ponadto w spadku nie tylko pokazną sumę pieniężną, lecz i moralne nasło popierania lotnictwa wśród kobiet, przez kobiety i dla kobiet.

Mimo ufundowania samolotu treningowego przez komitet kobiecy, oddano go do dyspozycji lotniczek zbyt późno, niemożliwym było już osiągnięcie wymaganych przez regulamin challenge’owy godzin i kilometrów przelatanych podczas treningów.

Na prośbę organizatorów challenge’u komitet kobiecy zdecydował się przystąpić wspólnie z LOPP do ufundowania samolotu challenge’owego pod nazwą „LOPP — Lotniczka”. Uzyskał go świetny lotnik, kpt. H. Skrzypiński.

Wyniki finansowe akcji osiągnęły sumę trzydziestu kilku tysięcy złotych, przewyższając znacznie wymagane do samodzielnego ufundowania samolotu 35.000 zł. Wydano na samolot ćwiczebny 5.000 zł., na challenge’owy (do spółki z LOPP) 25.000 zł. Po załatwieniu innych wydatków, zresztą stosunkowo minimalnych, dzięki bezinteresownej pracy członkiń komitetu, pozostało na czysto gotówką 10.000 złotych. Tę właśnie sumę zadysonowało zebranie likwidacyjne komitetu.

W myśl propozycji zarządu uchwalono sumę tę przekazać, jako kapitał żelazny, z którego odsetki będą szły na stypendja dla trenujących lotniczek.

Nad fundacją czuwać będzie kuratorjum. Poza tem lotniczki będą miały prawo w Aeroklubie Warszawskim korzystać z ufundowanego przez komitet kobiecy samolotu ćwiczebnego. Samolot challenge’owy, jako nieodpowiedni do celów treningowych, ma być zamieniony na samolot ćwiczebny i korzystać zeń również zagwarantowane dla lotniczek.

Z likwidującego się komitetu, który istotnie określił sobie tylko doraźny cel i spełnił go chlubnie, nie wyłoniła się żadna instytucja, która zechciałaby otoczyć opieką i poparciem poczynania lotniczek w Polsce.

Lotnictwo nie nagarmo ma skrzydła u ramion i bohaterstwo w czynie... dążenie kobiet do udziału w lotnictwie jest czemś

znacznie większem i mądrzejszem, niż kaprys sportsmenek...

Dalo temu zresztą wyraz i zebranie komitetu kobiecego uchwałą swoją ostatnią, zwróconą do klubów sportowych kobiecych i do organizacyj, które uczestniczyły w akcji challenge’owej. Komitet wzywa je, by pracowały nad popieraniem i urzeczywistnianiem lotnictwa wśród kobiet, by szkolącym się lotniczkom przychodziły z pomocą“.

MUSSOLINI O SPRAWIE POPULACYJNEJ.

Korespondentka „Paris Soir” pani Titayna uzyskała wywiad u Mussoliniego, podczas którego oświadczył on jej, że przyznaje się do feminizmu ponieważ, jak kobieta posiada wielką odwagę, cierpliwość i subtelność. O znaczeniu kobiety jako matki Mussolini mówi:

„Wierzy pani w nadprodukcję? Niema żadnej nadprodukcji. Co jest, to ograniczone spożycie? Cofanie się liczby urodzeń jest główną przyczyną trwającego kryzysu. Muszą być dzieci, wiele dzieci. Dziecko jest ważnym konsumentem, ponieważ niszczy ono wszystko: książki, zabawki, ubrania i je dużo. Życie gospodarze kraju zależy od jego ludności. Pogląd, że naród bogaty w dzieci może być biednym narodem, jest straszliwym błędem. Ja sam w młodości żyłem w prowincji prawie bezludnej. Dziś prowincja ta jest zaludniona całkowicie i życie tam jest inne. Naród musi mieć wiele dzieci jeżeli nie chce zginąć. Zdobywcami przyszłości będą te narody, które mają wiele dzieci. Wypadki na Dalekim Wschodzie należy również przypisać kwestjom ludnościowym. Dlatego też nienawidzę słowa: kontrola urodzeń, jak również nienawidzę komfortu. Komfort oznacza zniechęcałość. Każdy człowiek musi zachować w sobie trochę barbarzyństwa i pozostać mocnym. Nie należy się obawiać zimna, głodu i walki. Życie łatwe prowadzi bezpośrednio do dekadencji. Naród który najpierw myśli o swoim komforcie nie jest weale silnym narodem. Należy żyć, silnie, należy być mocnym przeciwko sobie, ażeby zdobyć również prawo stania się mocnym przeciwko innym“

OPIEKA NAD MATKĄ I DZIECKIEM W Z.S.R.R.

„A.B.C.” zamieszcza interesujący wywiad pani Haliny Bornowiczowej z dr. Konius, zarządzającą jednym z Instytutów Opieki nad Matką i Niemowlęctwem w Z.S.R.R.

Dr. Konius w pierwszych latach rewolucji studjowała historję sztuki. Skończyła studja. Otrzymała dyplom. Wyszła zamaż. Zaczęła studjować medycynę. W tym czasie urodziła córkę. Skończyła medycynę. Zabrała się do gigantycznej pracy. Jest jedną z tych, którzy stworzyli i zorganizowali Opiekę nad Matką i Dzieckiem w Z.S.R.R.

W zeszłym roku dr. Konius zorganizowała wycieczkę złożoną z pięciu specjalistów (doktorów i higienistów) do najbardziej wysuniętych na wschód okolic Syberji i Mongolji. Ma się rozumieć pojechała też i sama dr. Konius. Ta mała, tłuściutka osóbką nauczyła się jeździć konno na oklep, lub na wysokich siodłach kozackich. Nauczyła się gotować możliwe do strawienia pokarmy z niemożliwych produktów żywnościowych, prała bieliznę całej wycieczki, nie chcąc się wyręczać jakąś kobietą tuziemką. Ten brak chęci wyręczania się wpływał z obawy przed zarażeniem, gdyż prawie cała ludność na tych kresach Z.S.R.R. jest dotknięta syfilisem.

Dr. Konius wraz z pięcioma towarzyszkami badała możliwość wprowadzenia minimum higieny w życie tamtejszej ludności, a przede wszystkim w życie tamtejszych matek i niemowląt. To minimum nie dałoby się wprowadzić bez rewolucji. Razem ze zwalczaniem brudu trzeba zwalczać i przesady.

Dalej podajemy wrażenia autorki z Instytutu Opieki nad Macierzyństwem i Niemowlęctwem, gdzie dr. Konius jest zarządzającą.

Przychodnia jest przede wszystkim dla dzieci nie umieszczonych w żłobku. Dziecko jest badane i kłapanie. Matki przynoszą dzieci nie tylko wtedy, kiedy dzieci chorują, ale co jakiś, wyznaczony przez doktora, czas. Dzieci rosną pod opieką lekarską. Oglądam jedną z poczekalni dla dzieci starszych (następny okres po niemowlęctwie). Niskie ławki, małe stoliki, zabawki higieniczne (dające się myć), obrazki na ścianach, które dzieci nie nudzą się godzinami oglądają.

— Niema wystarczających środków na zorganizowanie żłobków dla wszystkich dzieci — skarży się dr. Konius. — Ale jest zrozumienie, że jest to rzecz największej wagi. Dowodem tego jest dążenie do stworzenia Ministerstwa Żłobków. Każda fabryka organizuje swój żłobek. ¼ proc. zarobków ogółu idzie na utrzymanie żłobka. Wybiera się lokal. Jakis dawny pałacyk kupca czy arystokraty, lub buduje się nowy specjalny gmach. Siostry pielęgniarki: chodzą po domach robotnic (adresy z fabryki) zapisują dzieci, zaznają się z warunkami domowymi dzieci, poto, by móc jaknajbardziej uzgodnić życie dziecka w domu z życiem w żłobku. 50% niemowląt w Moskwie umieszczono już w żłobkach, 60% dzieci powyżej lat pięciu obejmuje przedszkole, 100% dzieci w wieku szkolnym korzysta ze szkół.

Czytelniczki nasze

prosimy, by żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, restauracjach, czytelniach.

Kobieta w świecie i w domu

RACJONALNE GOSPODARSTWO DOMOWE, JAKO CZYNNIK PAŃSTWOWO-TWÓRCZY.

Pod tym tytułem odbył się na Zamku Królewskim, w obecności i za zezwoleniem pani Prezydentowej Marii Mościckiej odczyt zbiorowy, zorganizowany przez Instytut Gospodarstwa Domowego.

Po zagajeniu przez p. Janinę Huberową, przewodniczącą zarządu Inst. Gosp. Dom. wygłoszone zostały następujące odczyty:

„Organ. pracy domowej, budżet, czystość urządzeń mieszkania“ przez p. Mariję Ponikowską (Inst. Nauk. Organiz. i Kierownictwa), „Dietetyka i higiena życia codziennego“ przez p. Dr. Gustawa Szulca Dyr. Państw. Inst. Higjeny. „Gospodarstwo domowe jako czynnik handlowy“ przez p. Wacława Iwanowskiego Profesora Politechniki. „Wychowawcze znaczenie naucz. gosp. domowego“ przez p. Mariję Strasburger.

Po wyczerpaniu programu p. Prezydentowa podejmowała licznie zgromadzone panie herbatą.

SRODY KLUBOWE STOWARZYSZENIA KOBIET PRACUJĄCYCH ZAWODOWO.

Ruchliwe to, choć niedawno na terenie polskim pracujące Stowarzyszenie, urządza co drugą środę zebrania klubowe dla członkiń i zaproszonych gości, odznaczające się miłą atmosferą koleżeńską i urozmaiconym programem i gromadzące liczne przedstawicielki inteligencji pracującej. Ostatnia środa była poświęcona muzyce. Udział w koncercie wzięły wybitne artystki, bezinteresownie dzielące się swoim czarem i artyzmem z koleżankami, pracującymi w innych zawodach.

Pani Nina Stokowska Racięcka (skrzypce) przy akompaniamencie pani Sliwickiej odegrała: „Improwizację“ Zanetty, „Orientale“ Adama Wieniawskiego, „Nokturn“ Chopina w układzie Sarasatego, „Obertasa“ Henryka Wieniawskiego i „Czardasza“ Montiego.

Pani Sliwicka odegrała na fortepianie „Preludjum“ i „Gawot“ Protiófjewa, a pani Lucyna Robowska utwory Chopina, Friemana, Młynarskiego i Statkowskiego.

Wreszcie pani Gabrielli z uczuciem odśpiewała pieśni i arje Joteyki, Niewiadomskiego i Pankiewicza.

Wieczór klubowy, przeplatany koleżeń-

ską pogawędką przy herbacie, upłynął w przemiłym nastroju.

ANKIETA O WYBORZE ŻONY.

„Ognisko“, jedno z polskich pism wychodzących we Francji ogłosiło ankietę, która nosi tytuł: „Czy lepiej postąpi mężczyzna żeniąc się z kobietą ładną, lecz nie gospodarną, czy też odwrotnie?“

Odpowiedzi na tę ankietę są dla nas interesujące o tyle, że charakteryzują atmosferę, w jakiej przebywa olbrzymia liczba wychodźstwa polskiego we Francji.

Większość mężczyzn wypowiedziała się za wyborem kobiety brzydkiej, ale gospodarnej, podkreślając konieczność oszczędności, dbania o rodzinę i wychowanie



Pani Offmańska - Mrówkova, inżynier architekt, twórczyni pomnika lotnictwa na Okęciu (obszerniejszy artykuł o niej w Nr. 12 „Bluszczu“).

dzieci. Część mężczyzn łączy pojęcie wierności żony z jej brzydota. Niektórzy zaznaczają nieśmiało, że żona powinna być miła i podkreślają konieczność rozmowy.

Na 120 głosów tylko 10 było za kobietami ładnymi, ci nieliczni wierzą, że ładna i kochająca żona nauczy się gospodarności i że ozdobi monotonne życie męża swoją urodą.

Niektórzy zmieniają założenie ankiety, twierdząc, że dom należy budować na miłości, zrozumieniu, współpracy i doskonaleniu się wzajemnym.

KOBIETA KANDYDATEM NA PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Jednak z organizacji kobiecych w Stanach Zjednoczonych ogłosiła hasło „Wybierajcie kobietę na prezydenta“. Prezeska wymienionej organizacji pani Lillian D. Roch wyznaczyła już kandydatkę na wybory, które odbędą się w r. 1936.

Kandydatką tą jest Józefina Roche, pełniąca obecnie funkcję zastępcy podsekretarza stanu w ministerstwie skarbu. Pani Roche liczy około 50 lat i cieszy się opinią wykształconej i dystygowanej kobiety. Po odbyciu wyższych studiów pani Roche pracowała dla dobra rządu demokratycznego. Potem objęła zarząd kopalni, której właścicielem był jej ojciec. Tam wprowadziła w czyn swoje idee mające na celu polepszenie bytu robotników. Pracą socjalną zaskarbiła ona sobie popularność i sympatię szerokich mas i wyższych sfer, dzięki czemu zdobyła w ministerstwie skarbu zupełnie samodzielne stanowisko, pozwalające jej niejednokrotnie wywrzeć wpływ na sprawy państwa.

Bez względu na to, jaką ilość głosów zdobędzie kandydatka na prezydenta, jest rzeczą pewną, że posiada ona samodzielne stanowisko w nowym rządzie.

KRÓLOWA SREBRA.

Elżbieta Whilesmith, córka ubożego robotnika, olśniewająco piękna, wyszła za mąż za odkrywcę kopalni srebra Horacego Tabor. Odkryte przez niego kopalnie dawały olbrzymie dochody tak, że najkosztowniejsze kaprysy jego pięknej małżonki były natychmiast spełniane. Elżbieta Tabor uchodziła za najlepiej ubraną kobietę w Ameryce. Po kilkunastu latach fortuna odwróciła się. Kopalnie srebra zaczęły się wyczerpywać. Równocześnie giełdy amerykańskie zanotowały katastrofalny spadek ceny srebra w całym świecie. Wraz z zanikiem dobrobytu skończyły się czasy uznania dla Tabora i jego małżonki.

Po tragicznej śmierci męża w jednej z jego wyczerpanych kopalń, Elżbieta została sama, przestano interesować się nią. Szczęście odwróciło się. Przed kilku dniami znaleziono ją zmarznątą w małym górskim szałasie.

Miłośniczkom robót ręcznych przypominamy

że wyszła z druku książka p. t.:

HAFT WĘLNA

W opracowaniu Heleny Gawrońskiej

Cena 1zł. 50 gr., z przes. 1 zł. 80 gr.

Świat kobiecy

KOBIETA KOMINIARZ.

Zdjęcie nasze przedstawia niemieckiego kominiarza-kobietę. Wobec stanowiska Niemców, którzy nawołują kobietę do powrotu do kuchni, nasuwa się pytanie: czyżby droga kobiety niemieckiej do kuchni prowadziła przez komin?



MEGAFON NA ŁODZI.

Studentka uniwersytetu oxfordzkiego posługuje się megafonem w czasie wyścigów z przedstawicielami rywalizujących osad studenckich w Londynie.

SPRZEDAŻ KONSERW W Z.S.S.R.

Zdjęcie nasze przedstawia sprzedawczynię w jednym z wielkich sklepów konserw w Moskwie.



w ilustracji



SZKOŁA UKŁONU.

Panienci z najwytworniejszych sfer angielskich od miesiąca uczą się pięknego ukłonu z racji zbliżającego się jubileuszu pary królewskiej. Lekcje prowadzone są przez sławnego mistrza tańca pana Santes Casani.

PRZEGLĄD MODNYCH FRYZUR.

W Londynie otwarto największy na świecie pokaz damskich fryzur na przestrzeni od 1911 r. do czasów obecnych.

ROZWÓD MILJONERKI Z KSIĘCIEM GRUZIŃSKIM.

Nowa małżonka księcia Mdivani, eks-męża Poli Negri, milionerka Barbara Hutten niedługo cieszyła się swym egzotycznym małżonkiem. W kilka tygodni po ślubie księżna Mdivani oznajmiła, że nie znalazła w swym małżeństwie spodziewanego szczęścia i wszczęła kroki rozwodowe.



ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani Żylińska.

Adresu Stow. „Bratnia Pom. b. Uczestników Walk o Niepodległość“ nie znamy.

Niżej podajemy Pani adres „Związku Oficerów Rezerwy Rz. Polskiej“:

Warszawa, ul. Wierzbowa 11, i adres „Związku Oficerów w st. sp. R.P. Federacji P.Z.O.O.“ Warszawa, Aleja Szucha 29.

Pannie Helusi.

Całkowitą wyprawę (pościel, bieliznę pościelową i osobistą) może Pani zamówić z pełnym zaufaniem w firmie B. Lissner. Wspólna 47.

Przedstawia Pani najnowsze modele i wykonają z dobrych materiałów, punktualnie, solidnie i elegancko.

Czy umiecie dobrze słuchać?

— Która jest godzina? — Dopiero dziesiąta?... A ja już jestem taki zmęczony. Mam iść spać. Cóż kiedy nie mam ochoty! Możeby tak radio?... Posłuchajmy!

— Co? Znowu poważna muzyka?! Straszliwe programy, naprawdę straszliwe!

— Może jednak chwilę posłuchasz — mówi żona.

— Niema sensu — ciągle to rzempolenie aż uszy puchną...

— Są jednak ludzie, którym się podoba.

— Ale nie mnie. Mam już tego dosyć. Jeśli idzie o mnie — radio może nie istnieć...

— Jak uważasz, ale to nie powód abyś psuł aparat. Wogóle nie widzę powodu dla którego miałbyś się złościć...

— Skaranie boskie z temi babami. Zawsze muszą robić jakieś uwagi.

— A wy mężczyźni zawsze tylko dużo mówicie zamiast chwilę spokojnie pomyśleć. Jak sądzisz — czy radio jest tylko dla mnie i dla ciebie? W tej właśnie chwili słuchają radja tysiące ludzi w miastach, tysiące w wioskach i tysiące na całym świecie. Nadają muzykę poważną. Są słuchacze, którym to sprawia przyjemność. Są i tacy — jak ty — których to drażni. Ale w tem niema nic dziwnego, każdy ma inny gust. Nie mamy więc prawa żądać, aby w tej właśnie chwili grali to co nas zaciekawia.

— No tak, ale ja chcę...

— Aha... ty chcesz — nie przyszło ci widocznie na myśl, że tam w studio rozgłośni nie znają twoich osobistych gustów i że nie mogą się kierować twemi humorami...

— No no, trzeba jednak przyznać, że wy kobiety umiecie mówić weale rozsądnie.

— A wy mężczyźni umiecie być niekiedy bardzo nierozsądni. My przynajmniej

Pielęgnowanie urody w świetle wiedzy lekarsko-kosmetycznej

Ciąg dalszy.

NAPARZANIA TWARZY.

Omawiając w poprzednim artykule metody zapobiegawczego pielęgnowania prawidłowej cery, wzmiankowaliśmy o naporzaniach twarzy. Naparza się twarz przez 5 minut nad miedniczką z wrzącą wodą, przykrywszy głowę i miednicę prześcieradkiem. Zabieg prosty, lecz skuteczny — po *celomem* zastosowaniu.

W wypadku prawidłowej i suchej, również starzejącej się skóry twarzy, wymagany jest przyływ ożywczej surowicy krwi. Osiągamy to drogą naporzania, o ile pokryjemy prawidłową cerę emanacyjnym kremem „Ultrasol“, suchą zaś i sta-

rzejącą się — hormonowym kremem „Oxa“. Gdybyśmy w ten sposób naporzali twarz o tłustej właściwości, zniszczylibyśmy ją doszczętnie. Wszak chodzi w danym wypadku o odtluszczenie, a zatem naporzać bez osłaniania kremem. Specyficznym ożywiającym i zarazem odtluszczaającym tłustą cerę, skłoną do wagrów — jest płyn „Tyda“. Przemywa się nim twarz zapomocą wacika 5 razy dziennie, poczem splókuje się gorącą wodą. Do mycia tłustej cery: proszek marmurowy „Miraculum“, puder — odtluszczający, higieniczny Dra Lustra. Wystrzegać się wszelkich mydeł i kremów.

czasem umiemy się czegoś od życia nauczyć! Niedawno słuchałam rozmowy Biura Studjów ze słuchaczami. Mówiono tam, że do audycji powinien się przygotowywać nie tylko artysta, ale i słuchacz. Jeśliby nam przyszła dziś wieczór ochota słuchania muzyki — rzekł mi ten pan — i gdybyśmy poszli nie oglądając repertuaru, do najbliższej sali koncertowej, wówczas nie mielibyśmy prawa dziwić się, że usłyszymy muzykę, która nam nie przypada do gustu. A gdybyśmy tak zaczęli chodzić bez wyboru do teatru, czy na wykłady, byłoby to naprawdę godne podziwu. Ale jeśli idzie o radio — oczekujemy od niego rzeczy niemożliwych, a gdy nam ich nie daje — wygadujemy...

Proszę sobie przegłądać programy Polskiego Radja, ale tak naprawdę uważnie — zupełnie tak, jak programy kin i teatrów w prasie codziennej. W nich znajduje każdy coś, co go zaciekawia.

Jeśli na takie „coś“ natrafimy w dzienniku — staramy się, aby wieczorem mieć wolny czas, przygotowujemy ubranie, pieniądze na wstęp i t. d., słowem wszystko, co nam jest do tego potrzebne. Podobnie winno się przygotować do słuchania radja. Należy uważnie przegłądać w niedzielę program tygodniowy z tem przekonaniem, że znajdą się w nim audycje mniej lub więcej ciekawe a te, które nas bardziej zainteresują powinniśmy sobie zakreślić, abyśmy ich nie przeoczyli. Idzie tu nie tylko o dzień ale i o godzinę — zupełnie, jakby się szło na wykład, czy operę do teatru. I wtedy spokojnie będziemy mogli usiąść przy głośniku, aby słuchać programu, który nas zaciekawia. Nic i nikt nie będzie nas już irytował.

A gdy się już nauczymy tego, o czem wiedzieć powinni wszyscy słuchacze radjowi — to znaczy: umiejętności słuchania — powiemy o niem innym.



Długoletnia i mielce zasłużona współpracowniczka Głównej Rady Programowej Polskiego Radja, kierowniczką działu rozgłośni regionalnych p. Halina Sosnowska, została ostatnio powołana na odpowiednie stanowisko wice-dyrektora programowego Polskiego Radja.

Ogrodnictwo i hodowla

KIEDY NALEŻY ROŚLINY POKOJOWE PODLEWAĆ

Pytanie to słyszy się bardzo często, z ust miłośników roślin — niestety żadnej recepty tu podać niepodobna i, jedyną odpowiedzią tylko być może:

„Kwiaty pokojowe należy tylko wtedy podlewać, gdy one tego naprawdę potrzebują“. Na to zaś, aby wiedzieć, kiedy nasi pupile potrzebują dawki wody, trzeba je bacznie obserwować i znać potrzeby każdej poszczególniej rośliny.

Nie wystarczą tu żadne krótkie i pobieżne spostrzeżenia. — Trzeba się dokładnie zaznajomić z życiem rośliny, w ciągu wszystkich okresów jej rozwoju.

Są takie, np. rośliny doniczkowe, których w okresie ich spoczynku zimowego, albo wcale się nie podlewa, albo też minimalnie. Natomiast w okresie pełnej wegetacji, potrzebują bardzo dużo wody.

Przejścia z jednego okresu, do drugiego oczywiście nie mogą być gwałtowne, a przeprowadzać je trzeba bardzo ostrożnie. Inne rośliny okresu spoczynku nie mają tak wyraźnie odgraniczonego i konsumują dużo wilgoci, we wszystkich porach roku. Dotyczy to przedewszystkiem tych roślin, które pochodzą z krajów tropikalnych. Miłośnik roślin, musi znać naturę swych pupilów, pod tym względem i do ich obyczajów zastosować swe postępowanie.

Inaczej, nigdyby sobie tu nie dał rady i zawsze, musiałby popełniać błędy, które na zdrowiu roślin, a tym samym ich krasie, fatalnie się odbijać muszą.

Np. gdybyśmy zaczęli różne kaktusy i tłustosze podlewać jednakowo zimą i latem, skutki nie dałyby na siebie długo czekać i roślinki zmarniałyby bardzo szybko.

Roślinki bowiem, które należą do wyżej wymienionych grup, gdybyśmy je podlewali zimą tyle razy, ile zauważymy, że ziemia jest sucha, zmarniałyby niechybnie.

Dlatego tu w żadnym wypadku na pytanie, kiedy należy rośliny pokojowe podlewać, nie można zawsze odpowiadać — wtedy gdy są suche. Gdyż zasada ta byłaby fałszywa, w samym założeniu.

Pamiętać bowiem trzeba, że są takie rośliny, które muszą przejść okresy pewnego zasuszenia, gdy

wodę mają dostarczaną więcej niż skąpo. Pamiętajmy, że w ojczyźnie ich są okresy pory dżdżystej, gdy deszcz pada bez przerwy szereg tygodni, a potem przychodzą całe miesiące bezwzględnej suszy, gdy gorące, prażące słońce stara się z ziemi wydostać ostatnią nawet kroplę wilgoci.

Okres spoczynku roślin pokojowych musi być niejako wylimowany z pod ogólnych prawideł podlewania, w okresach pełnego rozwoju rośliny.

W czasie, gdy roślina rośnie i rozwija się potrzebuje pokarmu i wilgoci — wtedy podlewać ją trzeba — ilekroć ziemia jest sucha. Nie należy również wyczekiwać ostatniego momentu i pozwolić ziemi wyschnąć, jak się to mówi na pieprz, a samej roślinie tak wyczernać cały zasób wilgoci, aby aż gałązki jej i listki zaczęły obwisać.

Roślinie, w fazie rozwoju, należy dostarczać wody w tym momencie, gdy przypuszczamy, że wilgoć korzeni jest na wyczerpaniu.

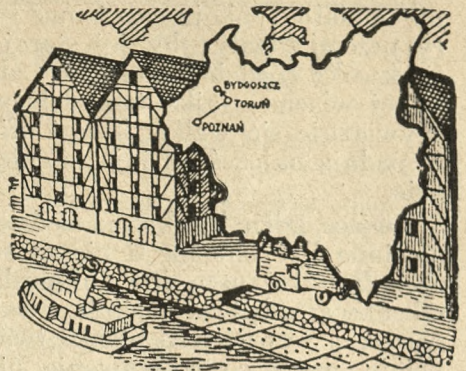
Momentu tego nie da się dokładnie opisać, choć dla przeciętnego hodowcy, jest on trudny do uchwycenia, i tylko doskonale wyćwiczone oko, na czas go zauważy. Wszelki zbyt ubytek wody z łodyg i liści tak, że one zaczynają więdnąć, jest bezwzględnie szkodliwy i musi się odbić ujemnie na dalszym wzroście rośliny. Dlatego też, trzeba pilnie baczyć na owe objawy.

Sucha ziemia zmienia barwę na jaśniejszą i przestaje być spoistą, a robi się krucha. Gdy pociągniemy palcem po jej powierzchni, to suchą ziemię w dotyku odczujemy zupełnie inaczej, niż wilgotną.

Sucha ziemia kruszy się pod palcem, a wilgotna daje się jakby gładzić. Odczuwamy również samą wilgoć oczywiście tylko wtedy, gdy znajduje się ona w dostatecznej ilości.

Gdyby ten sposób miał się okazać zawodny, badamy zawartość powietrza w ziemi doniczki przez opukiwanie. Pamiętać należy, iż w miarę tego, jak woda z ziemi wyparowuje, każdą wolną cząstkę miejsca wypełnia natychmiast powietrze. Dlatego też, w ziemi suchej znajduje się go dużo, a w ziemi mokrej mało. Gdy pukamy w ścianki doniczki palcem, lub patykiem, to im ona wydaje ton dźwięczniejszy, tem ziemia jest jej suchsza. Gdy zaś wydaje ton głuchy, znaczy, że zawartość powietrza w ziemi jest mała. Oczywiście, różni-

PODRÓŻ POLSCE



Romantyczna „WENECJA PÓŁNOCY“ gród nadbrdański BYDGOSZCZ słynie z przywiązania do rzeczy solidnych. Stąd też nawet hałaśliwa reklama nie zdoła odwieść nadobnych „Wenecjanek“ od używania znanego „KREMU MIAFLOR“ i świetnego pudru higienicznego „LORAN“ firmy HENRYK ŻAK, Poznań.



ce te są dość subtelne i do tego, aby je odróżnić, trzeba mieć wprawne ucho. Mimo to dźwięk doniczki z ziemią zupełnie suchą, jest dość łatwo odróżnić.

Jako regułę, przyjąć należy, że rośliny w stanie spoczynku potrzebują znacznie mniej wody. Gdy jednak wiosenne słońce zaczyna silniej operować, zapotrzebowanie na wodę rośnie z każdym prawie dniem.

Często się zdarza, że jednorazowe podlewanie okazuje się niewystarczające. Nieraz parowanie jest tak silne, że roślina podlana rano, nad wieczorem znów domaga się dawki wody.

Dlatego też, trzeba mieć zawsze baczne oko, dla obserwacji naszych pupilów i chwilę czasu.

NASADZAMY KWOKI

Gdy kura zacznie kwokać i rozsiedzi się już doskonale, trzeba zbadać, czy ona naprawdę chce siedzieć na jajach.

Próbe przeprowadza się w ten sposób, że sadza się ją wieczorem na gnieździe, gdzie są podłożone porcelanowe, czy gipsowe jaja. Skoro kura do południa jeszcze gniazda nie opuszcza, a gdy ją zszedzić, to znów tam wraca, można jej spokojnie jaja podłożyć.

Podczas całego okresu siedzenia, kwoka wymaga wielkiej pieczoł-

witości. Przedewszystkiem trzeba jej usłać gniazdo, gdzieś w miejscu zacisznym. Gdybyśmy jej pozwolili siedzieć w kurniku, z resztą drobiu, nie miałyby spokoju, gdyż inne kury przeszkadzały by jej starając się kwokę spędzić z gniazda, aby samej własne jajka tam dołożyć. Wywiązuje się walka, której ofiarą padają najczęściej jaja w gnieździe.

Miejsce, gdzie kwoka ma siedzieć, powinno być chłodne, i nie za suche. Zbyttna susza jest tu bardzo szkodliwą, gdyż jaja silnie wtedy parują, a wewnętrzna błonka twardej, przez co wyklucanie piskląt jest utrudnione. Bardzo praktycznym okazało się kłaść na spód gniazda kawał darni i dopiero wyściela się sianem, lub mchem.

O ile tylko można, należy gniazda słać wprost na ziemi i, aby się jajka nie rozlatywały, ogrodzić gniazdo deskami, lub ceglami. Gniazdo powinno być tak urządzone, aby kwoka każdej chwili opuścić go mogła. Idzie o to, aby się wypróżniła, wykapała w piasku, najadła i napiła. Często widuje się kwoki, siedzące na jajach, ponakrywane koszykami, sitami i t. p. Ten system więzienia kury, powinien być raz na zawsze poniekany.

W ten sposób maltretowana kura jest narażona jeszcze bardziej na robactwo, które i tak kwoki siedzące na gnieździe nękają w przeraźliwy sposób. Wprawdzie, hodowca zsada kurę raz na dzień, ale mimo to, często się zdarza, że biedna niewolnica gniazdo zanieczyści. Jest to dla niej bardzo niedobre, nie mówiąc już o kłopotcie doprowadzenia wszystkiego do czystości.

Dalej, zwłaszcza młode i płochliwe kwoki, tak się ciąglem ruszaniem gniazda zniechęcają, że tylko czyhają na możliwość opuszczenia jajek.

Przed nasadzeniem kwoki na jaja, trzeba ją dokładnie z pasożytów oczyścić. Do tego celu używamy mialko mielonej siarki, lub pro-

szku perskiego, który obficie pod pióra przy pomocy specjalnego przyrządu wdmuchujemy. Podściółkę, na której leżą jaja, trzeba doskonale posypać miałem wapiennym. Kąpiel z piasku, do którego dosypano sporo przesianego popiołu drzewnego, musi być stale do dyspozycji kury.

Pożywienie kwoki musi być obfite i składać się wyłącznie z ziarna. Karma miękka nie może tu mieć żadnego zastosowania. Zawsze świeżej wody musi kura mieć pod dostatkiem. Na matki najlepiej używać starsze, t. j. dwu, lub trzyletnie kury. Jednoroczne młódki nie nadają się tu zupełnie, gdyż zbyt prędko rozpoczynają się nieść, rzucają pisklęta w momencie, gdy jeszcze bardzo ich opieki potrzebują.

Bardzo praktyczne jest nasadzanie kilku, czy nawet kilkunastu kur razem, a to dlatego, że zawsze się może zdarzyć, że jakaś kwoka zdechnie, opuści gniazdo itp. Wtedy można jaja rozdzielić między pozostałe kury. Dalej, odchów młodziąt w gromadzie jest też dużo łatwiejszy. Nasadzone kwoki trzeba jednak tak umieszczać, aby się wzajemnie nie widziały i przy schodzeniu nie myliły gniazd.

Po kilku dniach siedzenia trzeba jaja przejrzeć i wszystkie niezapłodnione odłożyć, używając ich dla piskląt.

Okres wylęgania trwa 19 — 23 dni — przeciętnie 21 dni. O ile pisklęta się po 22 dniach jeszcze nie wykluły, trzeba jaja raz jeszcze przejrzeć, kładąc je na moment do letniej wody. Jaja, które mają w sobie żywe pisklę, będą lekko drgały, podczas, gdy zgniłe, lub takie, które mają w sobie obumarły płód, nie drgną.

Pod żadnym pozorem, nie można używać do nasadzania jeszcze raz tej samej kwoki, gdyż najczęściej jaj nie wysiedzi, bo zdechnie. Natomiast, jako matki są wprost idealne indyczki. Te bez szkody dla nich można użyć do tego celu nawet

Wszystkim naszym Szanowanym Współpracownikom, Korespondentkom i Czytelniczkom przypominamy, że drobnych rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca.

Osoby, pragnące uzyskać zwrót rękopisu, powinny do niego dołączyć odpowiednią ilość znaczków.

dwa i trzy razy. Ponieważ są większe, można im podłożyć ponad 20 jaj. Indycka za nic nie opuści gniazda, póki jest tam bodaj jedno jajo, przez co można ją przetrzymać w gnieździe po wykluciu się piskląt przez kilka dni, co jest dla nich bardzo ważne. Inaczej kura; — ta gdy tylko zauważy, że pisklęta za nią pójda, opuszcza natychmiast gniazdo, nie troszcząc się zupełnie o to, czy tam są jeszcze jaja czy nie.

Indyka w wodzeniu puchowej gromadki wykazuje wogóle dużo więcej troskliwości i roztropności, niż kura. Ta ostatnia, wydostawszy się z gniazda, zaczyna swoje zwykłe wędrówki, grzebiąc pilnie, często zapomina o dzieciach, które nadaremnie piszcza, aby je wzięta pod swe skrzydła. Indyka zaś przystosowana do tego, że małe indyczęta są bardzo słabe i niedołężne, pisklęta otacza również staranną opieką.

CZĄBER OGRODOWY

Jet to roczna roślina, która dzięki swemu aromatu, ma zagranicą szerokie zastosowanie, jako przyprawa do sałat i sałatek.

Cząber udaje się w zwykłej ziemi ogrodowej. Najlepiej jednak na grządce, o ziemi pulchnej, przewiewnej i wystawionej na silną operację słoneczną. Nasionka, które zachowują siłę kiełkowania przez lat trzy, wysiewa się wprost na miejsce stałe w połowie kwietnia.

Siejemy je, albo w cztery linje na zagonie, lub też, jako międzyplon, w niskorosnących warzywach jak: marchew, pietruszka, cebula i t. p.

W ciągu lata nie wymaga od nas prawie żadnych starań; trzeba tylko uważać, aby go chwasty nie zagłuszyły. Przed samem zakwitnięciem ścina się rośliny, wiąże w niewielkie pęczki, suszy w cieniu i przechowuje w miejscu zabezpieczonym od wilgoci. Na nasienie, które dojrzewa w połowie września, zostawia się pewną ilość roślin.

Marja Dąbrowa.

Artystycznie wykonane pisanki są niezbędną ozdobą stołu wielkanocnego!

Książeczka wyd. „Życie Praktyczne“

p. t.

„PISANKI“

nauczy Panie łatwego i estetycznego wykonywania pisanek. Cena 1 zł. z przesyłką poczt. 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich większych księgarniach.

Dom i gospodarstwo

ŚRODEK CIĘŻKOŚCI

Podstawa udanych projektów to wypośrodkowanie „punktu ciężkości”.

Jest to zagadnienie przedsięwzięte o niemałej wadze. Bo zaczynamy już wchodzić w krąg projektów, snujemy je bardziej, lub mniej realnie, mamy dla nich solidne podstawy, albo poprostu jakieś z najkruchszych, kruche podłoże wymarzonych pragnień podniecanych głodną rozrywki wyobraźnią.

Najsilniej zagrożona temi majakami wyobraźni bywa pani domu. Na nią to lubią spadać w ostatniej chwili jakieś szalone projekty, zrealizowane ad hoc, lub rozgoryczenie nieudanych zamierzeń. Ona to nie wie czasem do ostatniej chwili, ile będzie miała osób przy świątecznym stole na czem, wypadnie jej oprzeć ten „środek ciężkości”: na gorączkowym uwijaniu się przed wyjazdowym, czy, też kładzeniu podwalin pod zasobne aprowizacyjnie, spędzone „w komplecie” — Święta.

Reszta domowników, poza panią domu, to jednostki w tym wypadku nieodpowiedzialne.

Mąż nie wie czasem do ostatniej chwili, czy udzieli mu w biurze parodniowego urlopu, czy zdoła uzyskać zaliczkę; waha się pomiędzy żądzą spokojnego wypoczynku w czterech ścianach domowego ogniska, to znów nęci go i kusi jakieś świąteczne zaproszenie, albo chęć ugoszczenia przyjaciół u siebie. Najczęściej nie bierze pod uwagę z konieczności ustalenia w porę swoich zamierzeń i planów, licząc na to, że jego druga, domowa połowa jest od tego, aby wzięła na siebie konsekwencje.

Dzieci, tak chętnie wyrwijające się dzisiaj w bliższy, lub dalszy świat przy lada wolnej chwili: zmagają się z przyjaciółmi, kolegami, organizują, planują, ciągle *nie wiedzą jeszcze nic pewnego*, ciągle obiecują powiadomić matkę, dziś — jutro o świątecznych zamierzeniach. A dni płyną, jak wartka rzeka, czas nie zatrzymuje się w miejscu i zawsze jeszcze *nie wiadomo*, pod znakiem czego organizować Święta.

Gdyby nie ta atawistyczna żądza oddania hołdu tradycji, wszystkie posunięcia, przesunięcia, wielkie i małe niewiadome, straciłyby na wadze. Zostaną, czy wyjadą, będą się bawili poza domem, czy wypoczywali w domu, *zmieszczą* się zawsze ich poczynania w tych zasadniczych dwóch dniach świątecznych, jak mieściły się dotąd w każdej zwykłej niedzieli.

Ale zwykła niedziela to nie Wielkanoc.

Nie da się zamknąć w przeciętnej zupie, jakiejś pieczeni z garniturem i deserze. Ma swoje niezłomne wymagania, narzuca szacunek dla tradycji, nie chce się obejść bez naszego współdziałania w urabianiu świątecznego nastroju. To wysokie napięcie, poparte wydatkami ponad siły i zmęczeniem zgoła nieproporcjonalnym do ważkości celu, jest rodzajem cichego świątecznego obłędu, który nie zawsze da się umotywować zdrowymi pobudkami.

Dwór wiejski, do którego ściągają dzieci ze szkół, goście z miasta ma dobrą rację robić z przygotowań świątecznych rodzaj obrządku. Skromny dom miejski, żyjący „od pierwszego do pierwszego”, ze swoim gospodarstwem, opartem na pracowitości rąk pani domu i wątpliwej pomocy służącej „do wszystkiego”, budzi nieraz politowanie zaślepieniem, jakie każe mu płynąć z prądem.

Nieszczęsny „środek ciężkości” oparty na nieodzownych przysmakach wielkanocnych, których jest zawsze w końcu za dużo, które niezmiennie godzą w serce naszych budżetów, powinien zmienić zabarwienie.

Czy rzeczywiście *święta* muszą opływać tłuszczem soczystych szynek, indyków, prosiąt strojnych chrupką skórka? Czy nie mogą się obejść bez pracowitych nocy, spędzanych na przyrządzaniu ciast i mazurków, bez tego gorączkowego nastroju, niezdrowego wysiłku „wielkich porządków” i wielkich przewrotów domowych, podejmowanych *w imię przyjemności i wypoczynku*?

Tradycja zasługuje niewątpliwie na największą dozę pietyzmu z naszej strony. Z chwilą, gdy pogrzebiemy ją własnymi rękami, życie straci rumieniec, zadławimy się jego szarą powszedniością. Ale i tradycje trzeba umieć dostosować do warunków. Ta z przed dziesiątków lat, której mogłyśmy służyć nietylko sercem i duszą, ale i płynnym budżetem i zastępem rąk roboczych, jakie miałyśmy w każdej chwili do dyspozycji, należy już do przeszłości i to właśnie trzeba zrozumieć, z tem się pogodzić.

Każda z nas musi zrzucić z ramion ciężar przeświadczenia, jakoby jej obowiązkiem było: zastawienie stołu ciężkiego od kosztownych przysmaków, bo inaczej *sprofanuje* Święta. Możemy przecież zdobyć się na wyczarowanie nastroju świą-

NA ŚWIĘTA

BARANKI

cukrowe i czekoladowe

JAJKA

czekoladowe od najskromniejszych do ozdobnych, napełnionych czekoladkami,

FIGURKI

z najlepszej czekolady,

ŚWIĘCONKI

z czystego marcepanu i czekolady na sztuki i na stolikach,

TORCIKI

pralinowe, orzechowe i ananasowe,

CZEKOLADĘ

w proszku i w bloku do mazurków,

MAZURKI

w pięciu odmianach,

oraz masę migdałową i orzechową do mazurków i ciast

poleca E. WEDEL

tecznego, nietylko na podstawie jedzenia, posilkując się *między innymi* niezaprzeczoną urokiem dań okolicznościowych, nie stawiając ich, jednak jak bożków na ołtarzu tych krótkich dwóch dni, w których niewoli stapiają się nasze ciężko zarobione grosze i nasze nie tak znów bogate siły fizyczne.

Obciążone rachunki w zaprzyjaźnionych sklepach spożywczych: pobory następnego miesiąca nadzarpnięte świątecznymi zaliczkami; popuchnięte od wysiłku stopy: oczy, jakby zasypane piekącym piaskiem niewywczaś; gorączkowy, wyczerpujący pośpiech przedświątecznego tygodnia; chaos przygotowań; spokój i ład domowego życia, wytracony z równowagi; ten charakterystyczny „przedświąteczny dreszcz”, poruszający z posad normalny tryb naszych codziennych przyzwyczajzeń i poczynąń, są czemś zgoła przeciwnym zdrowo ujętej i uszanowanej tradycji.

Wanda Dobrzańska.

NIE WYRZUCAJMY FILCOWYCH KAPELUSZY!

Komitet „OSIEDLE ma dla nich zastosowanie.

Komitet „OSIEDLE” prosi o stare filcowe kapelusze, z których robi się pantofelki dla dzieci wyjeżdżających na kolonie letnie.

Prosi też o stare zabawki. Dzieci najbardziej potrzebują także chęć się bawić.

Adres Komitetu: Marszałkowska Nr. 155 m. 8.

Przepisy kulinarne MAZURKI

Ciasto kruche na mazurki. Proporcja: 40 dk mąki pszennej, 50 dk masła, 20 dk cukru pudru, 5 żółtek ugotowanych na twardo, szczypta soli.

Mazurki, które robimy w większych ilościach i przechowujemy czas dłuższy, muszą być trwale, to znaczy nie zmieniać zasadniczo wykwitnego smaku pod wpływem czasu.

Kruche ciasto podane powyżej, odznacza się właśnie tą odpornością, którą należy przypisać dodawanym żółtkom, gotowanym na twardo. Przyrządzone bez nich daleko prędzej zatraci cechy wykwintnej świeżości.

Sposób wykonania: Osiać najprzedniejszą mąkę pszenną. Zrobić pośrodku zagłębienie, włożyć w nie masło i siekać nożem masło z mąką dopóki się całkowicie nie połączy. Dodać osiany cukier puder, przefasowane przez sito żółtka, sól w miniaturowej ilości. Zagnieść szybko (nie wyrabiać!), włożyć na miskę, przykryć, postawić w chłodzie na parę godzin.

Tak przygotowane ciasto służy jako wyśmienity podkład pod „kruche mazurki” przeróżnego typu.

Mazurek kruchy z polewą czekoladową. Ciasto, przygotowane z powyższej proporcji, rozwałkować na podłożu z białego glansowanego papieru na pół palca grubo. Nadać mu dowolny kształt: prostokątny, owalny, okrągły. Otoczyć waleczkiem z ciasta, ukarbować, lub ponacinać zręcznie rancik. Wstawić do gorącego pieca, a gdy się ciasto ścinać zaczyna, wyjąć na chwilę, szybko posmarować rancik rozbitym jajkiem, zrumienić na złoty kolor.

Gotowy mazurek poleć polewą czekoladową, wynieść do chłodu żeby pomadka prędko zastygła.

Pomadka czekoladowa. Proporcja: 25 dk czarnej czekolady deserowej w tabliczkach, 25 dk cukru, 25 dk masła deserowego, kawałek wanilji, 2 szklanki śmietanki.

W miedzianym, albo kamiennym ogniotrwałym rondlu rozpuścić cukier i czekoladę ze śmietanką, gdy się zagotuje, włożyć kawałek wanilji i masło. Smażyć na wolnym ogniu, mieszając bezustannie, aby się pomadka nie przypaliła. Gdy się wysmaży do połowy pierwotnej ilości, powinna być dobra na gęstość, zresztą najlepiej zrobić próbę, nalewając troszkę pomadki na dno talerzyka. Jeżeli szybko zastyga, jest dobra. Przesmażona kruszy się, traci na wykwitnym smaku, to też trzeba bardzo uważać, aby jej zadługo nie trzymać na ogniu.

Kruchy mazurek z porzeczkami (wyśmienity). Ciasto kruche, jak wyżej, kształt dowolny. Dodatki: masa migdałowa, konfitury porzeczkowe osączone z syropu, lukier pomadkowy zabarwiony alkiermasem.

Proporcja na masę: 20 dk migdałów słodkich, 20 dk cukru pudru, woda różana.

NAWIOSNĘ ILATO

NOWE NAJMODNIEJSZE WŁÓCZKI DO ROBÓT RĘCZNYCH:

BALLADYNA
LNIANO-WEŁNIANA WŁÓCZKA FANTAZYJNA

FRASCATI
WŁÓCZKA JEDWABNA Z PRZEDZONEGO JEDWABU IZTUCZNEGO W JAJNYCH PAITELOWYCH KOLORACH

MARLENA
ANGORA-MELANGE Z PRZEBLIWYCH KOLORACH WG. WIKAZÓWEK PARYŻA.

ELEKTRA
NOWOCZESNA WŁÓCZKA OJAZDZISTOŚĆ I SŁOWO MODY.

NOWE PIĘKNE KOLORY
WŁÓCZKI JEDWABNEJ
MADAME DUBARRY
BLICH Z KOLOROWYM JEDWABEM.

NOWA WEŁNA DO CEROWANIA
"4. PODWOJNE NITKI"
OJZDZISTOŚĆ I TRWAŁOŚĆ.

WŁÓCZKI-WEŁNY
TRÓJKĄT W KOLE
SP.AKC. BIELSKO.

Proporcja na lukier: cukier puder rafinerji lubelskiej, sok cytrynowy, arak, kropla czerwonej farby cukierniczej, albo trochę soku: żórawinowego, dereniowego lub berberysowego.

Odpiec spód z kruchego ciasta, otoczony wysokim, ładnie uformowanym rancikiem. Dać warstwę masy migdałowej, warstwę konfitur z czerwonych porzeczek drażnionych, osączonych na sicie i lekko obsuszonych. Zalać pomadką, a gdy zastygnie, przybrać konfiturami z porzeczek, skórką pomarańczową osmażoną w cukrze i smażoną anielką.

Masa migdałowa. Sparzyć migdały, obrać ze skórek, wypłókać w zimnej wodzie, wytrzeć w serwecie do sucha. Zemleć dwukrotnie na młynku. Wsypać migdały na miskę, dodawać stopniowo cukier puder i, zakrapiając wodą różaną, ucierać walcikiem drewnianym. Zmacerowaną masę rozprostować równą warstwą na spodzie z kruchego ciasta. Konfitury z porzeczek wylać na sito, osączyć i lekko obsuszyć w ciepłym kuchennym.

Lukier pomadkowy. Wsypać dowolną ilość osianego cukru pudru na niepolewaną miskę. Wlać soku cytrynowego i araku tyle, żeby się wytworzyła gęsta pomadka. Zabarwić jednym z wyżej wymienionych soków owocowych, albo odrobiną farby cukierniczej, na blad różowy kolor. Ucierać walcikiem drewnianym 20 minut.

Mazurek piaskowy z malinami i migdałami. Proporcja: 20 dk masła, 20 dk cukru pudru, 20 dk mąki kartoflanej, 5 jajek, wanilja.

Proporcja na masę makaronikową: 25 dk migdałów, 25 dk cukru pudru, 5 białek. Utrzeć masło walcikiem drewnianym na śmietanę, dodając stopniowo po jednym żółtku i po 2 łyżki cukru pudru. Ucierać co najmniej pół godziny. Gdy masa już doskonale utarta, ubić sztywną pianę z pozostałych białek i dodawać naprzemian: łyżkę piany, łyżkę mąki. Mieszać lekko, żeby piana nie opadła. Na końcu wlać kieliszek araku, jeszcze wymieszać i natychmiast wylać na blachę, wysmarowaną masłem i wyprószoną mąką pszenną. Piec w gorącym piecu godzinę. Wystudzony

mazurek przykryć warstwą dżemu, albo konfitur malinowych (konfitury osączyć z syropu), dać na to masę makaronikową, wsunąć jeszcze na chwilę do pieca, aby masa przeszła i nabrała jasno-złotego koloru.

Masa makaronikowa. Sparzone i obrane migdały zemleć bardzo miękko na młynku, wymieszać z cukrem pudrem, wsypać do rondla, postawić na zakrytej fajercie i podgrzewać, ciągle mieszając, dopóki migdały z cukrem nie przeschną tak, że się nie będą kleiły w palcach. Wystudzić. Dodać pianę z 5 białek, lekko wymieszać.

Mazurek czekoladowy bez ognia (najwykwintniejszy). Proporcja: 20 dk cukru pudru, 10 dk sproszkowanej czekolady czarnej, deserowej, 10 dk migdałów słodkich, 10 żółtek ugotowanych na twardo, trochę wanilji.

Na masę: 1/8 kg migdałów słodkich, 2 łyżki cukru pudru, trochę sproszkowanej wanilji, 2 łyżki przegotowanej słodkiej śmietanki.

Na pomadkę: 10 dk czekolady czarnej deserowej, trochę śmietanki słodkiej. Ugotować jaja na twardo, wyjąć z nich żółtka, przefasować przez sito. Migdały sparzyć, obrać, umyć w zimnej wodzie, wytrzeć do sucha. Cukier puder osiać. Czekoladę utrzeć na tarce.

Zagnieść ciasto z migdałów, cukru, czekolady, żółtek, wyrabiając je tak długo rękami, dopóki się zupełnie nie połączą wszystkie dodatki. Podzielić to ciasto na dwie równe części, jedną część rozprostować równą warstwą na oplatku, przykryć warstwą masy migdałowej, dać znów ciasto czekoladowe. Zalać czekoladę, połamaną na kawałki, niewielką ilością śmietanki słodkiej, podgrzewać, dopóki się zupełnie nie rozpuści, a gdyby pomadka okazała się rzadka, smażyć chwilę. Po zdjęciu z ognia dodać maleńki kawałek masła deserowego, wymieszać, oblać mazurek. Po zastygnięciu przybrać pastylkami czekoladowymi.

Masę migdałową przyrządzić z obranych: miękko zmielonych migdałów z dodatkiem cukru, wanilji i słodkiej, gotowanej śmietanki. Rozetrzeć walcikiem, aby się zmaciowała.

Ciasto czekoladowe, przeznaczone do przykrycia masy migdałowej, rozwałkować na posypanej cukrem pudrem deseczce porcelanowej.

Sernik na kruchym spodzie. Proporcja: na ciasto: 30 dk mąki pszennej, 20 dk masła, 8 dk cukru pudru, 4 żółtka ugotowane na twardo, szczypta soli.

Proporcja na masę serową: 20 dk masła deserowego, 20 dk cukru pudru, 12 jajek, 40 dk doskonale osączonego twarogu świeżego, skórka pomarańczowa osmażona, wanilja, 2 dk gorzkich migdałów, 10 dk rodzyneków sułtanek, 2 łyżki mąki kartoflanej.

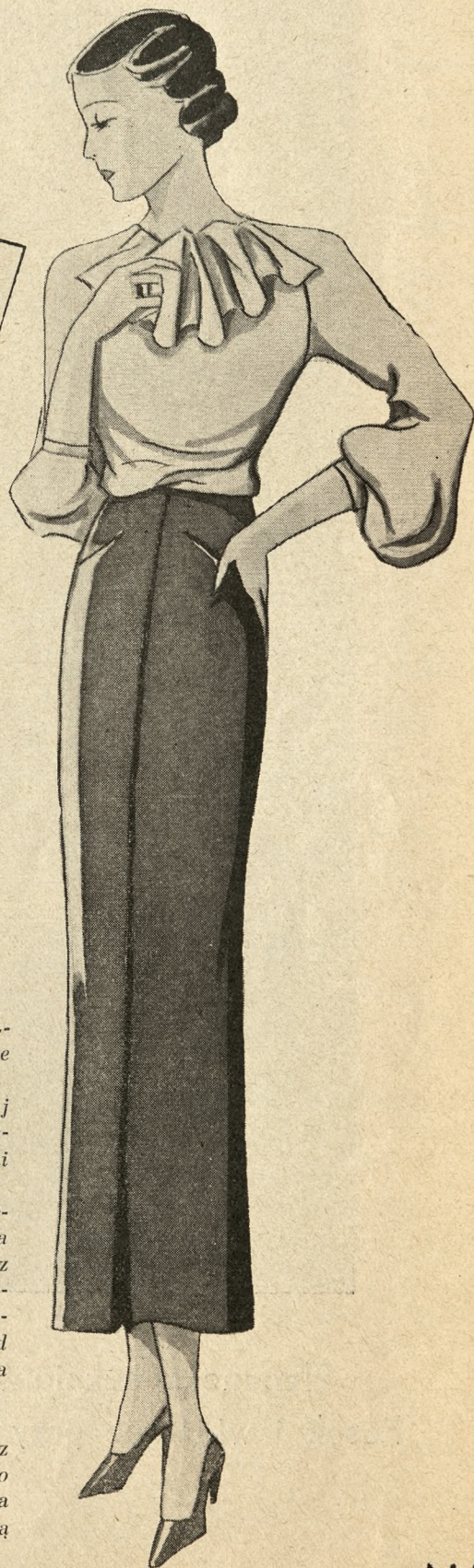
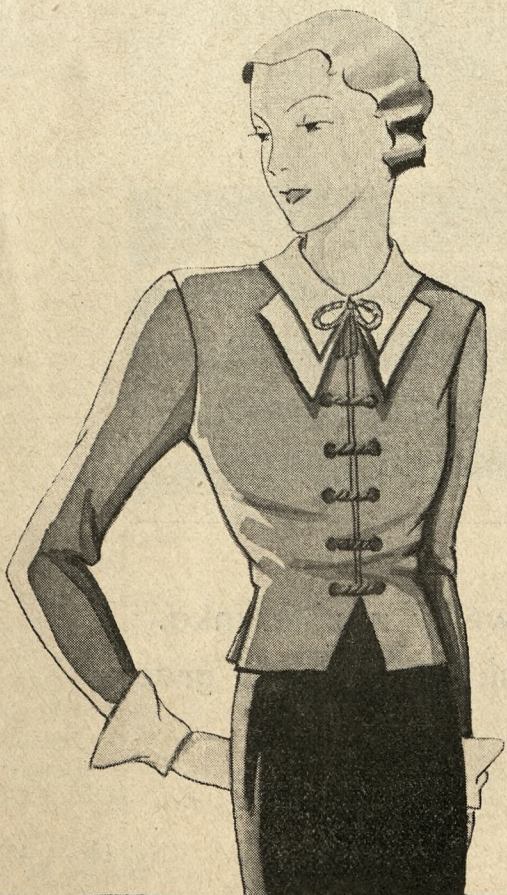
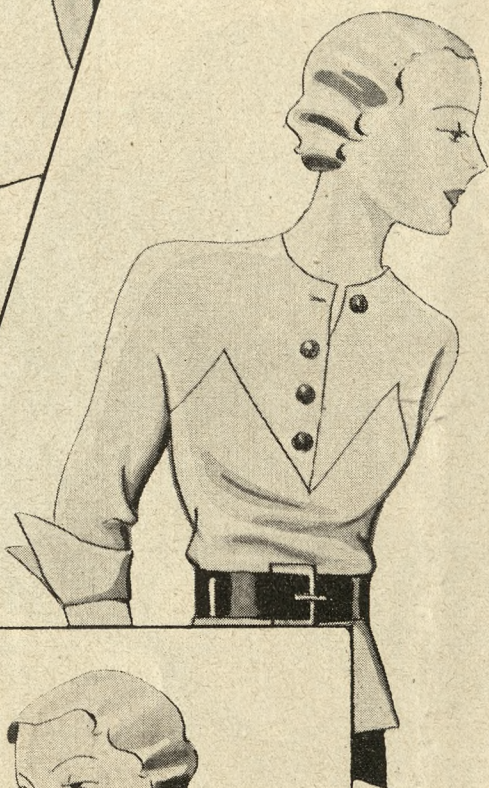
Odpiec kruchy spód czworokątny, nie zdejmować go z blachy, a gdy przestygnie, nałożyć masę serową, formując równą, wysoką warstwę. Przykryć białym papierem posmarowanym masłem, wstawić do pieca na pół godziny.

Melba.

Mody i roboty



Elegancka suknia wiosenna z granatowej wełny z pelerynką.
Pasek i wiązanie przy szyi z jedwabiu niebieskiego w białe grochy.



Skromniulka bluzeczka z różowego jedwabiu w czarne grochy.

Seledynowa bluzka o pięknej prostej linii przybrana czarnymi błyszczącymi guzikami i takimż paskiem.

Sportowa bluzka z jasnoniebieskiej wełny, przybrana kołnierzem i mankietami z białej piki. Efektowne sznurowanie granatowym jedwabnym sznurem, związanym pod szyją. Do tego granatowa spódnica.

Popołudniowa bluzka z białego matowego jedwabiu z efektownym żabotem z tego samego materiału. Spódnica z czarnej wełny z głęboką faldą z przodu.



Sportowa bluzeczka z cienkiej wełny koloru beige, przybrana wełnianym wzorzystym szalikiem. Do tego brązowa wełniana spódnica ze stebnowanymi fałdami..

Efektowna bluzka wizytowa z czarnego crêpe satin.

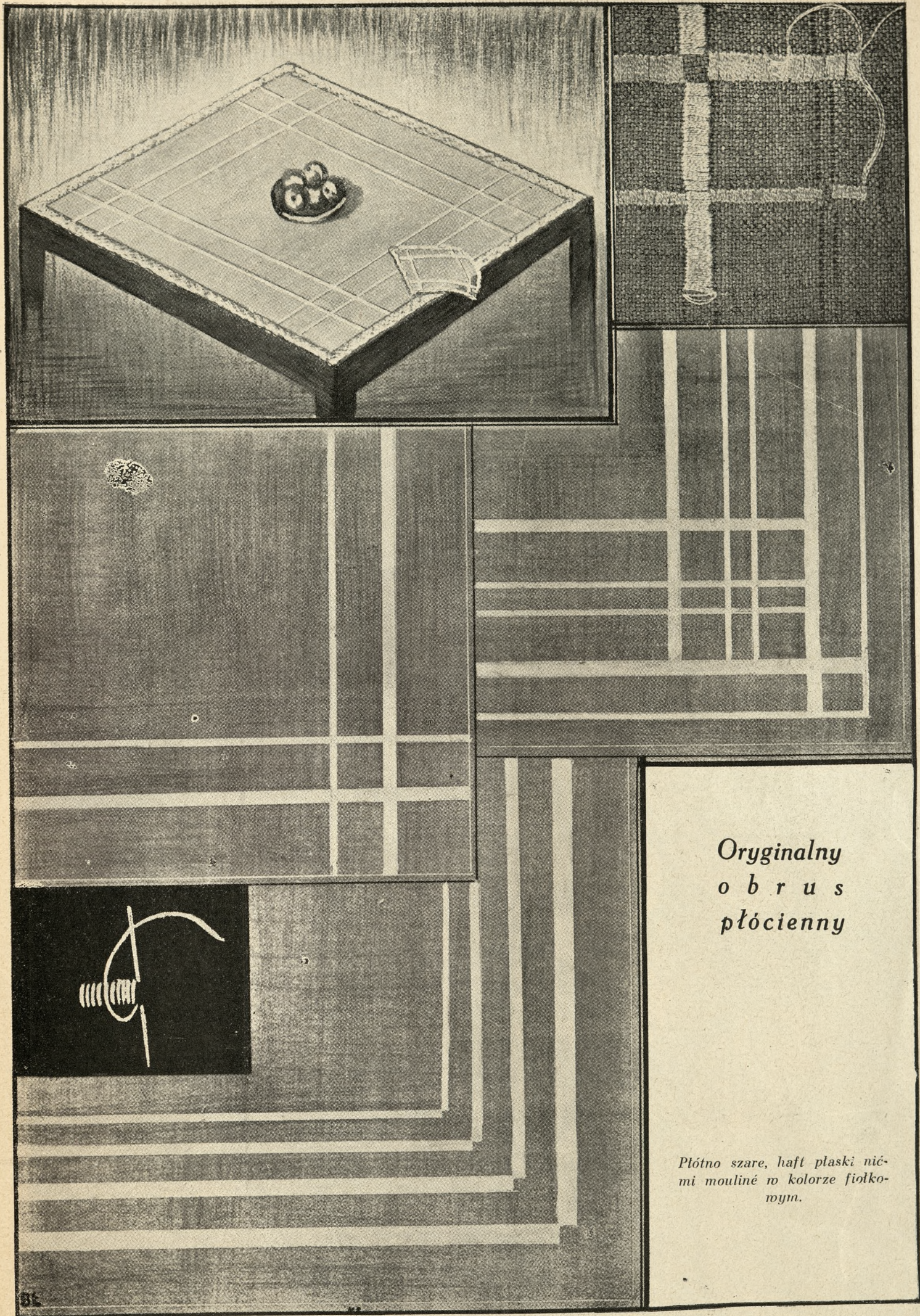
Elegancka bluzka popołudniowa z perłowego jedwabiu.

Sportowa bluzka z bananowej flory przybrana stebnowaniem.



Modne żaboty,
kołnierzyki i kokardy





*Oryginalny
o b r u s
płócienny*

*Płótno szare, haft płaski ni-
mi mouliné w kolorze fiołko-
wym.*

Obrus — przykrycie na stół jadalny



Plótno szare, haft cytrynowy i czarny

Projekt. Chodkiewiczowa.



Serwetka na tacę.

Projekt. M. Witte.

Poduszka do wózka dziecięcego



PODUSZKA DO WÓZKA DZIECIĘCEGO.

Markizeta biała, mereżki haft płaski, ściąg sznureczkowy i dziurki.
Wielkość wedle potrzeby. (Na szwy w poduszce należy dodać około 1½ cm).

Ten sam motyw można użyć na kapkę do wózka dziecięcego, powtarzając go wielokrotnie.
Brzegi kapki obszyć falbanką.

Irena Nowakowska-Acedońska.

KONKURS

Warunki ogólne. Poznanie części czy całości jakiegoś kraju może być skuteczniejsze właściwie przez bezpośrednie, zmysłowe zetknięcie się ze wszystkimi elementami, tworzącymi całość badanego skrawka powierzchni kuli ziemskiej. By owo zmysłowe zetknięcie się z przedmiotem takiego krajoznawczego badania umożliwić, musimy poruszać się po owym wycinku powierzchni ziemi; od wyboru środka tej zmiany miejsca zależy w decydującej mierze rodzaj zdobytego poznania. Gdy wędrujemy piechotą, mamy możliwość zwrócić uwagę na wszystkie, drobne nawet osobliwości terenu, a więc góry i doliny, zauważyć wszystkie szczegóły sieci wód opadających w kształcie rzek i strumieni, zaobserwować zmiany t. zw. erozyjne, które ta niszcząca lub budująca działalność wód łączy w powierzchni ziemi, widzieć i rozumieć mozaikę szaty roślinnej, okrywającej, jako lasy, łąki lub inne zbiorowiska, ziemię, spotkać wielkie i małe zwierzęta, zainteresować się człowiekiem, na danej ziemi osiadłym, i pomyśleć nad jego stosunkiem do otaczającej go przyrody oraz odwrotnie: wpływem przyrody na niego, wreszcie nie omiąć żadnego z dzieł jego rąk, jako budowla lub pozornie bezcelowe, a piękne dzieło sztuki przezeń wykonane i t. p.

Gdy będziemy zaś z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę przebiegali po ną pewną ziemią samolotem — zdobyć możemy już inne, choć również ważne jej poznanie. Dostrzeczemy wtedy np. bez pomocy konstrukcyjnej wyobraźni zmienność samego krajobrazu ziemi, wprawdzie bez żadnych szczegółów, ale zato syntetycznego w kształcie i barwie. Redakcja „Ziemi” wysuwa więc, jako kryterjum podziału całego materiału na części równoznaczne, wybór samego środka lokomocji, czyli że opisy wycieczek zostaną uszeregowane w następujące grupy:

Grupa A: wycieczki z użyciem własnej, żywej siły ruchu — a więc wycieczki piesze.

Grupa B: wycieczki z użyciem obcej siły żywej, a więc wycieczki konne, końmi (bryczka, powozem, saniami i t. p.).

Grupa C: wycieczki z użyciem przyrządu, poruszanego własną siłą (rower, łódź wiosłowa, kajak, narty i t. p.).

Grupa D: wycieczki z użyciem mechanicznej, naturalnej siły (sanki żaglowe, łódź żaglowa, tratwa i t. p.).

Grupa E: wycieczki z użyciem mechanicznej sztucznej siły, a więc silników spalinowych (motocykl, samochód, łódź motorowa, samolot i t. p.), pary (łódź parowa, statek, pociąg), prądu elektrycznego (kolej elektryczna, samochód elektryczny, tramwaj i t. p.).

Każdy nadesłany opis rozpatrywany będzie przez Sąd Konkursowy przede wszystkim pod tym kątem widzenia, czy autor opisu dał pełnię zaobserwowań i wrażeń, których powinien był doznać, przebiegając swą drogę w ten właśnie, a nie inny sposób. Ani długość przebytej

„PRASA”

Czasopismo poświęcone sprawom
wydawniczym i prasowym

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU WYDAWCÓW
DZIENNIKÓW I CZASOPISM

Redaktor: **STANISŁAW KAUZIK**

Wyszedł z druku zeszyt 1—5 za r. 1935 i zawiera treść następującą:

GŁOWIŃSKI Franciszek — Rola ogłoszenia w gospodarce wydawniczej.
HEINRICH Stefan — Propaganda własna czasopisma w dziedzinie prenumeraty.

Dr. MERGEL Władysław — Prasa estońska.

OSZELDA Władysław — Metropolja a prasa emigracyjna.

CZERWIŃSKI Jerzy — Odmowa umieszczenia sprostowania prasowego.

ZAJDEMAN Jerzy — Tajemnica śledztwa a informacja prasowa.

Wzrost ilości ogłoszeń prasowych w Anglii; Nowe drogi reklamy niemieckiej: „Agencje Informacyjne”; Kolportaż T-wa „Ruch” w r. 1934; Prasa Ameryki Północnej w cyfrach; Prasa duńska w cyfrach; Rozwój prasy w Persji; życie organizacyjne (Prace Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism; Przyjęcie Związku Wydawców na cześć p. Prezydenta i Prezydium m. W-wy; Organizacje dziennikarskie zagranicą i u nas); Kronika krajowa; Ustawy, rozporządzenia i orzeczenia sądów; Prasa na szerokim świecie.

Cena zeszytu 2 zł. 50 gr. Do nabycia w administracji „Prasy”, Warszawa, Krak. Przedm. 40 m. 11 oraz w większych księgarniach i kioskach „Ruchu”.

drogi, ani sam jej wybór nie będą grały roli decydującej.

WARUNKI SZCZEGÓŁOWE.

Nadesłana na konkurs praca winna odpowiadać następującym warunkom szczegółowym:

(a) rozmiar jej nie powinien przekraczać 500 wierszy formatu „Ziemi” (5 stronie);

(b) winna być napisaną po jednej stronie dowolnego zresztą formatu papieru (najlepiej na maszynie);

(c) może zawierać do 5 zdjęć fotograficznych;

(d) być zaopatrzoną w godło, w zamkniętej zaś kopercie zawierać imię, nazwisko i adres autora;

(e) termin nadesłania prac 15 października 1935 r.

NAGRODY

Powołany przez Redakcję „Ziemi” Sąd Konkursowy, którego skład ogłosimy w niedługim czasie, będzie mógł przyznać przede wszystkim w każdej z poszczególnych grup nagrodę grupową, którą będzie wydrukowanie nagrodzonej pracy w „Ziemi” na zwykłych warunkach honorarium autorskiego.

Sąd Konkursu przyzna jednocześnie najlepszej z tych prac nagrodę Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w kwocie 300 zł.

Redakcja „Ziemi”

Kurs pielęgnowania róż w ogrodach

Kolo Miłośników Ogrodnictwa urządza w czasie od dnia 8 — 14 kwietnia r. b. Kurs Pielęgnowania Róż w ogrodach, który obejmie: klasyfikację, rozmnażanie, uszlachetnianie, zastosowanie róż w ogrodach, sadzenia, cięcia, zasilania, zimowanie oraz choroby i szkodniki róż. Prelegentami będą: p. inż. E. Nalepińska, p. St. Schönfeld i p. dr. Gorjaczkowski.

Wykłady będą się odbywały w Tow. Ogrodn. Warsz. — Bagatela 5 (I piętro) od godz. 6 — 8 wiecz. Praktyczne ćwiczenia cięcia róż na gruncie.

Zapisy i informacje: Biuro K.M.O. Al. Jerozolimskie 20 m. 16, tel. 652-70, Kierowniczka Kursu p. Wysocka — tel. 840-18, Skład Nasion B-ci Chomicz — Zgoda 8 oraz w dniu rozpoczęcia wykładów na miejscu — Bagatela 5. Ilość miejsc ograniczona.



**PIERWSZA LECZNICA
Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr. med. M. Biernackiej i Dyr. I. Ksielewskiej
Warszawa, Szopena 16.**

ŚWIĘTA WIELKANOCNE zbliżają się !!!

Paniom, które chcą przeprowadzić w swoim mieszkaniu idealne porządki, polecamy następujące książeczki wyd. „ŻYCIE PRAKTYCZNE”:

Odnawianie mieszkania i porządki domowe
Pranie, prasowanie, czyszczenie
Czyszczenie plam
Czyszczenie przedmiotów codziennego użytku
Higiena i porządek w naszym domu
Wnętrze polskiego domu
Tępienie szkodników (cz. I i II)

Cena każdej książki 1 złoty, z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Zamawiać i nabywać można w Tow. Wyd. „Bluszez”, Solec 87 i Świętokrzyska 17, oraz we wszystkich większych księgarniach.

Chlubą Pani domu są PIĘKNIE UTRZYMANE KWIATY

Wyczerpujące wskazówki z dziedziny pielęgnacji i hodowli roślin pokojowych znajdzie Pani w książkach biblj. miłośnika roślin pokojowych:

Zwalczanie szkodników i chorób roślin pokojowych
Cena 90 gr.

Kalendarz roślin pokojowych
Cena 90 gr.

Jak należy podlewać rośliny pokojowe
Cena 90 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszez”, W-wa. Solec 87 i Świętokrzyska 17, oraz we wszystkich większych księgarniach i kioskach „Ruchu”.

DOBRE PRZEPISY, TO PODSTAWA OSZCZĘDNOŚCI!

Każdej Pani Domu ułatwią przygotowania świąteczne książki „Życia Praktycznego”, w których znajdzie dobór wypróbowanych i urozmaiconych dań, niezbędnych na wielkanocnym stole

1. CIASTA WIELKANOCNE.
2. MAZURKI.
3. TORTY DOMOWE.
4. SAŁATY I SAŁATKI,
5. ZIMNE PRZEKĄSKI.
6. PRYZYSTAWKI GORĄCE.
7. DRÓB — SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA.
8. PISANKI.

9. POTRAWY Z CIEŁĘCINY.
10. POTRAWY Z WOŁOWINY.
11. PASZTECIARNIA DOMOWA.
12. PIECZYWO DOMOWE.
13. DROBNE CIASTECZKA.
14. CUKIERKI I SŁODYCZE DOMOWEJ ROBOTY
15. O PRZYJĘCIACH I STOLE JADALNYM.
16. CO, JAK I KIEDY PODAWAĆ (cz. I i II).

Wszystkie książki wyd. „Życie Praktyczne” zamawiać i nabywać można w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17, oraz we wszystkich większych księgarniach

Cena każdej książki 1 zł., z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.